Leigh Brackett

Cytadela martwych statków

(The Citadel of Lost Ships)

Planet Stories, March 1943
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Roy Campbell obudził się z potężnym bólem głowy. Natychmiast, całkowicie instynktownie i na ślepo, jego ciało rzuciło się do pulpitu ze sterami. Dopiero kiedy zamiast w niego, uderzył rękoma w gładką, twardą polepę z błota, na ścianie, uświadomił sobie, że nie znajduje się już na statku, oraz że Straż nie ściga go, ostrzeliwując jego pojazd gęstym ogniem swojej śmiertelnie niebezpiecznej broni.

Oparł się o ścianę. Pot obficie zraszał mu ciężko poruszające się piersi. W końcu, w jego coraz bardziej rozbudzonych oczach, pojawiło się przypomnienie. Jego ciało ponownie przeszył dreszcz, ostrych zwrotów statku pod spokojnymi ruchami jego dłoni na sterach. Poczuł to niemal tak wyraźnie, jakby ta walka ciągle jeszcze trwała. Rozpamiętywał cienkie jak ołówek promienie, chłoszczące pośród nocy, szukające go, pragnące jego życia. Przypominał sobie krótką modlitwę, która plątała mu się gdzieś po zakamarkach pamięci, kiedy z taką biegłością walczył, na granicy krańcowego ryzyka, aby umknąć nieustępliwym prześladowcom.

Następny okres w jego pamięci, był jednak nieco zamglony, po tym gdy wyładowanie z działa laserowego rzuciło statkiem, jak niesionym na wietrze liściem, a jego głowa uderzyła z całej siły, w pulpit sterowniczy. Dalej pamiętał tylko niewyraźnie, te niesamowicie długie minuty, kiedy ścigał się z pogonią, uciekając w bezpieczne miejsce –– i później ciągnące się godziny, w trakcie których jedyną rzeczą we Wszechświecie, której pragnął, była możliwość zaśnięcia.

Opadł z powrotem na łóżko z rozpiętej na ramie skóry, a z ust wyrwało mu się coś pośredniego między śmiechem, i przekleństwem. Nadal się obficie pocił, a jego żylaste ciało skręcało się niespokojnie. Znalazł jakiegoś papierosa, przypalił go za drugim razem i siedział nieruchomo, nasłuchując jak stopniowo zwalnia rytm bicia jego serca.

Dopiero wtedy zaczął się zastanawiać, co go obudziło.

Była noc, głęboka noc wenusjańska, ciemno błękitna, w kolorze indygo. Przez otarte drzwi chaty, Campbell widział drzewa *liha*, kołyszące się lekko na gorącym, wolnym wietrzyku. Wydawało się, jakby to cała noc się kołysała, jak jakaś ciemna, niebieska zasłona.

Przez długi czas było zupełnie cicho, poza odległymi wrzaskami jakichś bagiennych zwierząt, w gorączce pogoni za zdobyczą. Potem, ostro i brutalnie gwałcąc niebieską ciszę, zaczął bić bęben.

Jego dźwięk spowodował, że serce Campbella podskoczyło. Nie był może jakiś bardzo głośny, ale słychać w nim było mocną, twardą,

barbarzyńską nutę, coś równie pierwotnego, jak same bagna i równie jak one obcego, nieważne ile czasu człowiek na nich żył.

Bębnienie ustało. Drugie, być może trzecie, wprowadzenie do rytuału. Pierwsze musiało go obudzić. Campbell wpatrywał się w otwór drzwiowy, zwężonymi, ciemnymi oczyma.

Tym razem spędził z Kraylenami tylko dwa dni i większość tego czasu przespał. Teraz jednak, pomimo całego swojego wyczerpania, wyczuwał, że we wsi coś jest nie tak.

Coś musi być nie tak, bardzo nie tak, kiedy bębny huczą w taki sposób, podczas parnej, gorącej nocy.

Naciągnął na nogi swoje krótkie, czarne buty i wyszedł z chaty na dwór. We wiosce nie było widać żadnego ruchu. Strzechy chat delikatnie szeleściły na wolno powiewającym wietrzyku, i to była jedyna oznaka życia.

Campbell skręcił na ścieżkę prowadzącą pod szepczącymi drzewami *liha*. Nie miał na sobie nic, poza obcisłymi czarnymi spodniami od kombinezonu kosmicznego, a gorący wiatr muskał i pieścił jego gołą skórę, jak dotyk delikatnych dłoni. Wypełnił całe płuca miękkim powiewem. Powietrze pachniało ciepłą, stojącą wodą, rosnącymi zielonymi roślinami i…

Wolnością. Przede wszystkim, *wolnością*. To było jedyne miejsce we Wszechświecie, w którym człowiek mógł nadal odpowiadać sam za siebie i czuć się człowiekiem.

Bęben ponownie podjął swój rytm, dolatujący jak bicie gniewnego serca ludzkiego z głębi indygowych ciemności nocy. Tym razem nie przerywał. Campbell wzdrygnął się lekko. Drzewa zaczynały już rzednąć, odsłaniając kopiasty, ciemny wzgórek.

Był on oświetlony przez gorące płomienie płonących strąków *liha*. Słodki, oleisty dym unosił się kłębami w konary drzew. Spoza drzew można było dostrzec ciemne rozbłyski na wodzie, ale bliżej widać było inne rozbłyski, jaśniejsze, bardziej dzikie, bardziej niebezpieczne.

Rozbłyski oczu ludzi, milczących ludzi, stojących kręgiem wokół wzgórka.

Pośrodku kręgu, na kopcu, siedział mały człowiek. Jego skóra miała jasno-biały, aż niebieskawy połysk chudego mleka. Ubrany był w kilt z opalizujących łusek. Twarz człowieka sugerowała w subtelny sposób gadzi wygląd, szeroka w kościach policzkowych, i zwężająca się pod spodem.

Grzebień ze wspaniałych piór –– to nie były tak naprawdę pióra, ale były do nich tak bardzo podobne, że Campbell nie był w stanie o nich myśleć inaczej –– rozpoczynał się tuż ponad linią brwi i biegł bez przerwy, przez głowę i dalej wzdłuż kręgosłupa, aż do talii. W tej chwili wszystkie stały nastroszone, połyskując w świetle ognisk.

Między kolanami pieszczotliwie trzymał bęben. Gdy go dotykał, przestawał to być tak po prostu bęben. Kiedy śpiewał i uderzał w niego, zmieniał się on w jego własne, przepełnione nienawiścią, serce.

Campbell zatrzymał się tuż za kręgiem. Jego nerwy, ciągle napięte z powodu nieomal fatalnie zakończonego spotkania ze Strażą Kosmiczną,

ukłuły go lekkimi piekącymi igiełkami. Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Mały człowiek zakołysał się lekko, spoglądając do góry, w unoszący się dym. Oczy miał na wpół zamknięte. Bęben był częścią jego samego i częścią tej ciemnobłękitnej nocy. Był również częścią Campbella, hucząc echem w jego krwi.

To było serce bagien, szlochające z nienawiści i ogromnego gniewu, który był równie widoczny, nagi i prosty, jak Adam w Dniu Stworzenia.

Campbell musiał wykonać jakiś mimowolny ruch, ponieważ jeden z mężczyzn stojących u podnóża wzgórka, odwrócił głowę i go zobaczył. Był wysoki i smukły, a jego grzebień, cechował się czystą bielą, oznaką wieku.

Odwrócił się i podszedł do Campbella, spoglądając na niego opalizującymi oczyma. Blask ognia rzeźbił twarz Ziemianina ostrymi cieniami, jej szczupłe, twarde rysujące się kości, wysoki łuk nosa, który kiedyś złamany, nie został prosto złożony, zgorzkniałe usta.

Campbell spytał go, w czystym, płynnym Wenusjańskim:

– Co się dzieje, Ojcze?

Oczy Kraylena opadły na nagą pierś Ziemianina. Porastały ją czarne włosy, a pod nimi widać było zawiłą plątaninę srebrnych i intensywnie niebieskich kresek, delikatnie wytatuowanych z wyjątkową zręcznością.

Biały grzebień starego człowieka skinął, wskazując do przodu. Campbell odwrócił się i poszedł z powrotem ścieżką. Wiatr i drzewa *liha*, gorąca, niebieska noc, wypełniona rytmem gniewu i nienawiści małego człowieka z bębnem.

Żaden z nich się nie odezwał, dopóki nie znaleźli się z powrotem w chacie. Campbell zapalił przydymioną lampę. Stary Kraylen wciągnął głęboki, powolny oddech.

– Mój prawie-synu – powiedział, – to ostatni raz, kiedy mogę udzielić ci schronienia. Kiedy będziesz już mógł, musisz stąd odejść i nigdy więcej nie wracać.

Campbell wpatrywał się w niego.

– Ojcze! Ale dlaczego?

Stary człowiek rozłożył bezradnie swoje niebiesko-białe ręce. Ton jego głosu był bardzo ciężki.

– Ponieważ my, Krayleni, mamy przestać być.

Campbell nic nie odpowiadał niemal przez minutę. Usiadł na skórzanym łóżku polowym i przeczesał palcami swoje czarne włosy.

– Opowiedz mi, Ojcze – powiedział spokojnym, ponurym głosem.

Biały grzebień Kraylena zmarszczył się w świetle lampy.

– To nie jest twoja walka.

Campbell wstał.

– Posłuchaj. Uratowaliście mi życie więcej razy, niż jestem to w stanie zliczyć. Przyjęliście mnie, jako jednego ze swoich. Byłem tutaj bardziej szczęśliwy, niż gdziekolwiek… no dobrze, to sobie odpuśćmy. Ale nie mów mi, że to nie jest moja walka.

Blada, trójkątna, stara twarz, uśmiechnęła się. Ale biały grzebień pokręcił się przecząco.

– Nie. Tak naprawdę, to nie jest żadna walka. To tylko śmierć. Jesteśmy wymierającym szczepem, po prostu resztką starej Wenus. Co za różnica, czy zginiemy teraz –– czy później?

Campbell zapalił papierosa, szybkimi ostrymi ruchami. Jego głos zabrzmiał bardzo twardo.

– Powiedz mi, Ojcze. Wszystko, i szybko.

Opalizujące oczy napotkały jego spojrzenie.

– Lepiej będzie nie mówić.

– Powiedziałem, „Powiedz mi”!

– No, dobrze. – Stary człowiek głęboko westchnął. – Pomimo wszystko, powinieneś jednak wiedzieć. Czy pamiętasz graniczne miasto, Lhi?

– Pamiętam je! – Białe zęby Campbella błysnęły w uśmieszku. – Pamiętam każdy brudny kamień, jaki można tam znaleźć, od przewodów pomp, aż po samą górę. Najlepsze miejsce na trzech planetach, żeby ukryć każdy gorący towar!

Przerwał, nagle czując zakłopotanie. Kraylen łagodnie stwierdził:

– To są twoje sprawy, mój synu. Bardzo długo cię tutaj nie było. Lhi się zmieniło. Rząd Koalicji Terro-Wenusjańskiej przejął je i zmienił w centrum administracyjne prowincji Tehara.

Na wzmiankę o Rządzie Koalicji oczy Campbella nabrały gorącego, twardego blasku. Powiedział jednak tylko:

– Mów dalej.

Twarz starego człowieka wyglądała teraz, jakby była wyrzeźbiona z marmuru, a jego głos zrobił się sztywny i jakby odległy.

– Na bagnach pojawili się pewni ludzie. Teraz zaś, przysłano nam wiadomość. Zdaje się, że tutaj na bagnach jest węgiel, ropa naftowa i pewne minerały, cenne dla ludzi. Chcą osuszyć bagna na obszarze wielu mil, i będą na nich pracować.

Campbell wypuścił dym z płuc, bardzo powoli.

– No dobrze, a co się stanie z wami?

Kraylen odwrócił się i stanął w wejściu obramowany ciemnoniebieskim prostokątem nocy. Odległy bęben łkał i krzyczał. Było gorąco, a jednak każda kropla potu na ciele Campbella, zrobiła się zimna.

Głos starego człowieka był cichy i pulsował gniewem, zupełnie jak bęben. Campbell musiał natężyć uszy, żeby go dosłyszeć.

– Zabiorą nas stąd i umieszczą w obozach w wielkich miastach. W małych grupach, tak żebyśmy byli podzieleni i rozbici. Mnóstwo ludzi będzie płacić za to, żeby nas obejrzeć, dziwne pozostałości starej Wenus. Będą płacić za nasze umiejętności w leczeniu skórami *leshen*, za pisanie naszej dziwnej muzyki, za tatuowanie. Staniemy się bogaci.

Campbell rzucił papierosa i przydepnął go na brudnej podłodze. Węzły żył sterczały mu na czole, a na jego twarzy pojawił się wyraz bezwzględności. Stary mężczyzna wyszeptał:

– *Prędzej umrzemy*.

Minęło dużo czasu, zanim którykolwiek z nich przerwał milczenie. Rytm bębna ucichł, ale jego echo ciągle tętniło w pulsie Campbella. Wpatrywał się w pokryte żyłami grzbiety rozłożonych dłoni oraz w kolana. Przełknął ślinę, ponieważ ciągle miał opuchniętą i obolałą szyję.

W końcu zapytał:

– A nie moglibyście wycofać się dalej, w głąb bagien?

Stary Kraylen odparł, nie ruszając się z miejsca. Nadal stał w wejściu, przyglądając się, jak drzewa kołyszą się na lekkim, wolnym wietrzyku.

– Tam żyją Nahali. Poza tym, tam nie ma czystej wody, ani ziemi do uprawy plonów. Nie jesteśmy zjadaczami jaszczurek.

– Widziałem już takie rzeczy – posępnie stwierdził Campbell. – Na Ziemi, na Marsie, na Merkurym, na księżycach Jowisza i Saturna. Mali ludzie wyrzuceni ze swoich domów, rabowani ze swojego stylu życia, wykorzystywani przez gapiących się z otwartą gębą idiotów, w centrach handlowych. Mali ludzie, których nie obchodził postęp, ani zarabianie pieniędzy. Mali ludzie, którzy chcieli tylko żyć, oddychać, oraz żeby zostawiono ich w spokoju.

Zerwał się na nogi, dzikim, gwałtownym skokiem i rzucił tykwą z wodą, która rozbiła się w kącie. Potem usiadł z powrotem. Wzdrygnął się. Stary Kraylen odwrócił się do niego.

– Mali ludzie, tacy jak ty, mój synu?

Campbell wzruszył ramionami.

– Może. Pracowaliśmy na naszej farmie od trzystu lat. Mój ojciec nie chciał jej sprzedać. A więc, wzięli go i wywłaszczyli. Teraz nasza ziemia jest pod wodą, a tama zasila cholernie wielką kupę fabryk.

– Bardzo mi przykro.

Campbell podniósł wzrok, a jego twarz złagodniała.

– Nigdy tego nie potrafiłem zrozumieć – powiedział. – Wy, tutaj, jesteście najbardziej przestrzegającymi prawa obywatelami, jakich kiedykolwiek widziałem. Nie lubicie też obcych. A jednak, kiedy przyplątałem się do was, z pościgiem na plecach i zły jak bagienny smok, to wy…

Przerwał. Prawdopodobnie to podekscytowanie związało mu gardło w węzeł, który czuł obecnie. Dym z lampy użądlił go w oczy. Zamrugał i pochylił się, żeby skorygować płomień.

– Byłeś ranny, mój synu i miałeś kłopoty. Twój spór z policją, nie był sprawą nikogo z nas. Każdemu byśmy pomogli. A potem, kiedy dostałeś gorączki i twoja kontrola nad sobą zniknęła, okazało się, że nie tylko twoje ciało potrzebuje pomocy. Daliśmy ci, co tylko mogliśmy.

– Taaa – ochryple stwierdził Campbell. Nie powiedział tego na głos, ale dobrze wiedział, że to, co mu dali Krayleni, uchroniło go przed kompletnym odbiciem pod sufitem.

A teraz Krayleni mieli pójść drogą innych słomek zmiatanych przez wielką miotłę Postępu. Nic nie mogło tego powstrzymać. Ziemskie imperium przewalało się przez wszystkie planety, budując, handlując,

przewalając się przez dzieje, zwyczaje i rasy, żeby zarabiać pieniądze i tworzyć lśniącą, stalową klatkę efektywności.

Klatkę, w której owieczki mogły żyć całkiem szczęśliwie, dobrze odżywione i zasobne. Ale on, Campbell, nie był owieczką. Próbował takiego życia, ale nie był w stanie beczeć zgodnie, w jednym chórze. A więc, musiał zostać wilkiem, bardzo niepokojącym całe stado.

Wkrótce nie będzie już żadnego miejsca w całym Układzie Słonecznym, gdzie człowiek będzie mógł stać na własnych nogach i swobodnie oddychać.

Poczuł duszność. Podniósł się i stanął w wejściu, obserwując poruszające się drzewa w gorącym, ciemnobłękitnym mroku. Drzewa tutaj znikną. Zastąpią je odwierty i kopalnie, żużel, sadza i stukot maszyn, oraz ludzie w splamionych potem i smarem koszulkach, pracujący w dzień i w nocy, żeby zarabiać, rozwijać się, produkować.

Usta Campbella wykrzywiły się, zgorzkniałe i sardoniczne. Powiedział cichym głosem:

– Boże pomóż nieproduktywnym!

Stary Kraylen wymamrotał:

– Co się stało z tymi innymi, mój synu?

Szczupłe ramiona Campbella, opadły.

– Część z nich umarła. Część się podporządkowała. Reszta…

Odwrócił się tak nagle, że stary człowiek cofnął się lekko. W ciemnych oczach Campbella pojawiło się światło, a jego twarz gwałtownie się ożywiła.

– Reszta – oznajmił niewzruszonym głosem, – odeszła na Romany.

Potem zaczął opowiadać. Pośpiesznie przemierzając chatę pełnymi napięcia, nerwowymi krokami, próbował przypomnieć sobie rzeczy, o których kiedyś słyszał, a którymi nie był w tamtych czasach zainteresowany. Kiedy skończył, Kraylen odparł:

– To byłoby lepsze. Absolutnie lepsze. Ale… – rozłożył swoje długie, blade ręce, a jego biały grzebień opadł. – Ale nie ma na to czasu. Ludzie rządu przybędą tutaj za trzy dni, żeby nas zabrać –– taki był podany limit czasu. A ponieważ my nigdzie nie pójdziemy…

Campbell pomyślał o tym, co się działo z buntowniczymi plemionami. Poczuł mdłości. Ale zmusił się do zachowania niewzruszonego głosu.

– Miejmy nadzieję, że jeszcze jest czas, Ojcze. Romany jest obecnie na orbicie Wenus –– niemal się o nią rozbiłem, kiedy tu leciałem. W każdym razie, ja mam zamiar spróbować. Jeżeli mi się nie uda… no cóż, zwódźcie ich tak dugo, jak tylko się da.

Pamiętając rytm bębna i sposób w jaki wyglądali mężczyźni, nie wierzył, żeby trwało to zbyt długo. Naciągnął na siebie luźną koszulę, z zielonej jedwabnej pajęczej przędzy, przerzucił przez jedno ramię pas z ciężkim pistoletem igłowym i tą samą ręką wziął swoją czarną tunikę.

Położył drugą rękę na ramieniu Kraylena i uśmiechnął się:

– Zajmiemy się tym, Ojcze.

W opalizujących oczach starego człowieka pojawił się cień.

– Żałuję, że nie udało mi się ciebie powstrzymać. Dla nas to jest i tak beznadziejne, a ty jesteś… *gorący*, czy nie tak brzmi to słowo?

Campbell uśmiechnął się.

– Gorący – potwierdził, – dokładnie właśnie tak. Ja wręcz parzę! Koalicja robi się strasznie zła, kiedy ktoś im sypie piasek w tryby, i to jeszcze w tak widowiskowy sposób jak ja. Ale jestem do tego przyzwyczajony.

Na dworze, zaczynało już się lekko przejaśniać. Stary człowiek powiedział cicho:

– Nie bogowie będą z tobą, mój synu.

Campbell wyszedł, myśląc sobie, że chyba będzie ich potrzebował.

Był już pełny dzień, kiedy dotarł do swojego ukrytego statku –– gładkiego, podrasowanego Fitts-Sotherna, który był w stanie prześcignąć niemal wszystko, co latało w kosmosie. Zatrzymał się na krótko we włazie do śluzy powietrznej, spoglądając na parną zieloność lasu drzew *liha* pod perłowoszarym niebem, i białą smugę mgiełki, owijającą się wokół jego szczupłej talii.

Spędził dłuższy czas nad swoimi mapami, karmiąc komputery statku liczbami. Kiedy w końcu otrzymał ustawienia, które go zadowalały, uniósł swojego Fitts-Sotherna w górę, na cichutko pomrukujących śmigłach, i poleciał w bok, nisko nad głębokimi obszarami bagien. Poczuł się znacznie lepiej, trzymając w rękach stery statku.

Kołdra Patrolu ponad głębokimi bagnami była cieniutka, ale za to bardziej czujna. Nerwy Campbella, były więc napięte niemal do granic ostateczności. Osiągnęły je, kiedy podszedł bliżej do miejsca, w którym musiał rozpocząć przeskok na nocną stronę planety.

Sięgał właśnie do włącznika napędu, kiedy na panelu wskaźników zaczęło nagle błyskać małe czerwone światełko.

Ktoś, w tej chwili, namierzał go promieniem detektora. I Campbell był absolutnie pewny, że ten ktoś leciał łodzią Patrolu.

II

Co do wenusjańskiej atmosfery, była pewna osobliwa rzecz. Nie da się przez nią prowadzić obserwacji, na bardzo długim zasięgu, nawet przy pomocy infra-promieni. Intensywność wiązki, która go trafiła, wskazywała, że statek Patrolu jest ciągle w dużej odległości od niego i prawdopodobnie nie nabrał jeszcze żadnych podejrzeń, chociaż statki zabłąkane nad bagna, były raczej rzadkością.

Za jakąś minutę gliniarz powinien wezwać go, do podania informacji, robiąc zbłąkanej owieczce masaż, przy pomocy swoich detektorów masy. Campbellowi nie wydawało się, że powinien na to czekać. Walnięciem w klawisz włączył silniki rakietowe, dusząc ich moc, dopóki nie rozgrzeją się dysze. Nawet przytłumiane, miały potężną siłę.

Fitts-Sothern śmignął w górę, błyskawiczną spiralą. Czerwone światełko zamigotało, zgasło, a następnie rozbłysło ponownie. Ten gliniarz był dobry, w operowaniu tym swoim promieniem. Campbell zwiększył dopływ paliwa.

Czerwone światełko znowu zgasło. Ale łódź Patrolu wysłała już wszystkie wiązki promieni, jakie miała, rozstawiając je w istną sieć do połowu. Kolejny z nich trafił Fitts-Sotherna, zgubił go, trafił ponownie i tym razem już nie popuścił.

Campbell poczuł nagłe silne szarpnięcie całego ciała.

– Promień ściągający – stwierdził. – A więc tak sobie to wymyśliłeś, przyjacielu?

Silniki rakietowe, do tej pory, naprawdę już się rozgrzały. Zostawił więc sprawę w ich rękach. Fitts-Sothern zawisł na ułamek sekundy, a jego potrójnie łączony kadłub zadrżał tak, że Campbellowi aż zadzwoniły zęby.

Potem wyrwał się, pędząc do góry, przerywając się przez sieć promieni. Campbell sterował nim, używając silników manewrowych zarówno na lewej burcie, jak i na sterburcie. Statek dziko rzucał się i podskakiwał. Gliniarz nie miał czasu, aby w którymkolwiek punkcie skupić na nim pełną moc, a niższe moce były dla Fitts-Sotherna, wyłącznie lekkim kłopotem, i niczym więcej.

Campbell wzniósł się ponad statek Patrolu, zrobił zwrot w przeciwnym kierunku, w stosunku do tego, w którym zamierzał lecieć dalej, zawisł w ciasnej spirali, dopóki nie upewnił się, że jest już czysty, a potem zanurkował z powrotem.

Łódź Patrolu nie spodziewała się, że zawróci. Jej pilot koncentrował się na obszarze, w którym Campbell zniknął, a nie na tym gdzie rzeczywiście był. Campbell wyszczerzył zęby w uśmiechu, otworzył przepustnicę na pełny gaz i uciekł, klucząc, poza krzywiznę planety, na spotkanie pędzącego w jego kierunku cienia nocy.

Nie spotkał już żadnych innych statków. Był w sporej odległości od szlaków handlowych i poruszał się tak szybko, że jedynie ślepym trafem ktoś mógłby go spostrzec. Miał nadzieję, że Patrol poluje na niego większymi siłami, gdzieś z tyłu, tam gdzie go zgubili. Miał też nadzieję, że polowanie to zajmie ich na dłuższy czas.

Wkrótce ruszył do góry, wolniej i na przytłumionych silnikach, wydostając się ponad atmosferę. Jego czarny statek wtopił się, w niemożliwy do odróżnienia sposób, w czarny cień planety. Zwolnił jeszcze bardziej, tak aby tylko równoważyć przyciąganie Wenus, i skradał się powoli w stronę określonego punktu, zaznaczonego na swoich mapach.

Gdzieś w pobliżu przeszła łódź Patrolu Zewnętrznego, ale zbyt daleko, aby w jakikolwiek sposób się tym przejmować. Campbell zapalił papierosa, rozedrganymi rękoma. Zdążył wypalić zaledwie jedną czwartą, kiedy w przestrzeni kosmicznej pojawił się obiekt, na który czekał.

Infra-promień jego łodzi, pokazywał go zupełnie wyraźnie. Była to olbrzymia masa, w kształcie okrągłej płyty, o średnicy około mili, zbudowana z trzech warstw statków kosmicznych. Potężne, starodawne, pordzewiałe, pokryte bliznami łat jednostki, które zakończyły już swój żywot, ale nie zostały przyzwoicie pogrzebane, zespawano razem w jedną stałą masę, łącząc je kilometrami rur, prowadzących do wnętrza ich zwłok.

Wcześniej, kiedy Campbell widywał tę konstrukcję, zazwyczaj zbyt mocno się śpieszył, aby zrobić coś więcej przekląć ją, że staje mu na drodze. Teraz pomyślał sobie, że to chyba najbardziej osamotniona, zapomniana przez Boga kupa rupieci, która wręcz wprawiała go w zdumienie, dlaczego ludzie w ogóle zadali sobie trud, żeby ją powołać i utrzymywać przy życiu.

Dotknął ręką przepustnicy, poddając się pokusie, żeby wrócić na bagna. Potem jednak pomyślał o tym, co się ma tam wydarzyć i cofnął rękę.

– Niech to diabli! – powiedział do siebie. – Równie dobrze mogę już zajrzeć do środka.

Nic nie wiedział o organizacji wewnętrznej Romany –– dzięki komu mogło to wszystko działać i w jaki sposób. Wiedział tylko, że Romany nie kocha Koalicji, ale czy będą oni mieli ochotę przygarnąć kryminalistę, było już zupełnie inną sprawą.

Nie byłoby wcale takie dziwne, gdyby przekazano im zdjęcia Roya Campbella, i powiedziano, aby na niego uważali. Jeżeli pomyśli się o rozmiarach nagrody wyznaczonej za niego, Campbell zaczynał żałować, że jest aż tak bardzo sławny.

Romany przypominało mu staromodną okrągłą łapkę na myszy. Kiedy już znajdzie się w środku, wcale nie będzie łatwo wydostać się na zewnątrz.

– Do wszystkich beczek zjełczałego dziegciu! – warknął nagle. – I dlaczego to niby nastawiam swoją głowę, dla jakiejś bandy na wpół ludzkich bagiennych włóczęgów?

Nie odpowiedział sobie na to pytanie. Przednia krawędź Romany pędziła ostrzem w jego kierunku. W części kadłubów paliły się światła, w większości w najwyższej warstwie. Campbell sięgnął po radio.

Musiał skontaktować się z grubymi rybami. Nikt inny nie mógł dać mu tego, co potrzebował. Żeby to zrobić, musiał podejść grzecznie do drzwi frontowych i zaanonsować swoje przybycie. Potem…

Instrukcja podawała potrzebną mu falę. Zaczął kręcić tarczami i pokrętłami, przeklinając fakt, że bardzo spociły mu się ręce.

– Statek kosmiczny *Czarna Gwiazda* wzywa Romany. Wzywam Romany.

Ekran przed nim rozbłysnął, zamigotał i rozjaśnił się.

– Romany, potwierdza odbiór. Kim jesteś i czego chcesz?

Na ekranie Campbella pojawił się jeszcze dosyć młody mężczyzna –– Taxil, pomyślał, z jakiegoś merkuriańskiego zadupia. Był hebanowo czarny

i przystojny. Wyglądał tak, jakby widok Campbella podziałał na niego, jak nieświeże piwo.

Campbell powiedział:

– Serdeczny z pana gość, nieprawdaż? Nazywam się Thomas Black, jestem kupcem z Terry i chciałbym dostać się na pokład.

– To wymaga specjalnego pozwolenia.

– Taaa? No, dobrze. Proszę połączyć mnie ze swoim szefem.

Taxil wyglądał teraz tak, jakby niespodziewanie powąchał coś, co od dosyć długiego czasu, było już martwe.

– Może chodzi panu o Erana Maka, Przewodniczącego Rady?

– Być może o niego – przyznał Campbell. Jeżeli reszta Cyganów była podobna do tego, z pewnością nie spodoba im się pomysł przyjęcia obcych.

No cóż, nie mógł ich za to winić. Obraz na ekranie rozmył się. Trwało to przez parę chwil, tak że Campbell zdążył wypalić w tym czasie trzy papierosy i wyczerpać swoje bogate słownictwo. Potem ekran nagle się rozjaśnił.

Eran Mak, to brzmiało z marsjańska, ale człowiek znajdujący się na ekranie, z pewnością nie był Marsjaninem. Był Ziemianinem, o twarzy przypominającej granitowy klin w ramie składającej się w całości z wystających kości i dziwacznych kątów.

Miał cienkie, blado-rude, kręcone włosy. Usta również cienkie. Nawet jego oczy też były cienkie, niemal szparki, bladoniebieskie, pozbawione rzęs. Campbell natychmiast poczuł, że go nie lubi.

– Nazywam się Tredrick – powiedział Ziemianin. Jego głos był też cienki, dało się w nim wyczuć lekki ton przypominający odgłos chodzenia po zimnym żwirze. – Jestem Głównym Zwierzchnikiem Ziemian. Panie Black, dlaczego chciałby pan u nas wylądować?

– Przynoszę wiadomość od ludu Kraylenów z Wenus. Oni potrzebują pomocy.

Oczy Tredricka zrobiły się, jeżeli w ogóle było to możliwe, jeszcze cieńsze i jeszcze bardziej blade.

– *Pomocy*?

– Tak. Pomocy. – Campbella uderzyło nagłe podejrzenie, wywołane przez coś, co jak zauważył, przemknęło przez granitową twarz Tredricka, kiedy powiedział „Kraylenów". Mówił dalej, bardzo powoli: – Rusza na nich Koalicja. Jak rozumiem wy, z Romany, pomagacie innym w podobnych przypadkach.

Zapanowała krótka chwila pełnej napięcia ciszy.

– Bardzo mi przykro – oświadczył Tredrick. – Nic nie możemy zrobić.

Ciemna twarz Campbella stężała.

– Ale dlaczego nie? Pomogliście przecież ludowi Shenyat na Ganimedesie i Drylandersom na Marsie. Przecież po to właśnie istnieje Romany, nieprawdaż –– jako miejsce schronienia dla ludów w podobnej sytuacji?

– Jako *latnik*, nie wie pan o wielu rzeczach. W tej chwili, nie możemy pomóc nikomu. Przykro mi, panie Black. Proszę zabrać stąd statek.

Obraz na ekranie zniknął. Campbell wpatrywał się w niego z mordem w oczach. Przykro ci. Niech mnie diabli, jeżeli jest ci przykro. A w każdym razie, co się tutaj dzieje?

Wyciągnął z gniewem rękę do nadajnika. I wtedy właśnie, zupełnie nagle, na ekranie pojawił się spoglądający na niego Taxil.

Nieprzyjazny wygląd zniknął. Zastąpił go gniew, ale nie był to gniew skierowany na Campbella. Taxil odezwał się do niego przyciszonym, pośpiesznym głosem:

– Czy nie kłamie pan, że przyleciał pan do nas od Kraylenów?

– Nie. Nie, nie kłamię. – Rozpiął koszulę, żeby pokazać mu swój tatuaż.

– Wredne śmierdziele! Black, niech pan wycofa statek, a potem podejdzie do jednego z zewnętrznych kadłubów, w najniższej warstwie. W niektórych rurach znajdzie pan alarmowe włazy. Proszę wejść do środka i poczekać.

W jego ciemnych oczach pojawił się dziki błysk.

– Jest jeszcze wśród nas paru ludzi, którzy nadal uważają Romany za miejsce schronienia!

Campbell wycofał statek. Po nerwach przebiegały mu malutkie mrowiące szarpnięcia. Na coś tutaj wpadł. Na coś dużego i brzydkiego. Wskazywał na to pewien ton w głosie Taxila.

Cienki, żwirowaty pan Tredrick, też coś przed nim skrywał. Coś ważnego, związanego z Kraylenami. Dlaczego właśnie Krayleni, najmniej ważny z nieważnych ludów na Wenus?

Kłopoty na Romany. Na Romany, cygańskim świecie, niezbyt mile widzianych dzieci Układu Słonecznego. Sprawa pozostająca ściśle w rodzinie. Jaki interes miałby mieć wróg publiczny o niskim numerze i wysokiej cenie za jego głowę, w mieszaniu się do czegoś takiego?

Potem pomyślał o bębnie wybijającym rytm w ciemnobłękitnej, indygowej nocy, oraz o starym człowieku przyglądającym się drzewom *liha*, kołyszącym się na lekkim, gorącym wietrzyku.

Roy Campbell określił siebie samego, jednym krótkim, gorzkim słowem, głęboko westchnął i sięgnął szczupłymi, brązowymi dłońmi do sterów. Wkrótce, pod osłoną infrapola, podszedł do antycznego transportowca, znajdującego się na brzegu najniższej warstwy, scalonego z otaczającymi go innymi wrakami, przy pomocy odcinków dwunastostopowej rury. W jednej z rur widać było właz, otwierany ręcznie, przy pomocy koła.

Fitts-Sothern podkradł się do rury z maksymalną delikatnością i starannością. Dotknął jej łagodnie, wyrzucił magnetyczne chwytaki oraz samo-przysysające się kołnierze i zawisł koło niej. Śluza powietrzna położona była dokładnie na wprost luku.

Campbell wstał. Był równie nerwowy i rozdrażniony, jak buszujący kocur. Z wielką uwagą zapiął wokół swoich szczupłych bioder, pas z ciężkim pistoletem. Potem wszedł do śluzy powietrznej.

Z nadzwyczajną starannością sprawdził chwytaki i kołnierze. Koło włazu było wsunięte w zagłębienie. Wyciągnął je i obrócił, nie dotykając lodowato zimnego metalu.

Za włazem znajdowała się prymitywna, beczkowata śluza. Campbell przeciągnął językiem po suchych wargach, wzruszył ramionami i wgramolił się do środka.

Po przejściu przez śluzę, znalazł się w jakimś miejscu, w którym panowała ciemność, choć oko wykol. Powietrze było rzadkie i aż parzyło z zimna. Campbell wzdrygnął się w swojej jedwabnej koszuli. Położył dłoń na rękojeści broni i oddalił się na dwa ostrożne kroki od wybrzuszenia śluzy, żałując jak diabli, że znalazł się w tym miejscu.

Zimne, zielone światło buchnęło gdzieś za nim, zdawałoby się znikąd. Na wpół się obrócił, z błyskawicznie wydobytą bronią w ręku. Ale nie miał szansy, aby zdążyć z niej wystrzelić.

Coś smagnęło go z góry, w centrum nerwowe, na boku szyi. Jego ciało po prostu w jednej chwili przestało istnieć. Upadł na twarz i leżał tam, walcząc ze wszystkich sił, aby się poruszyć, w efekcie czego uzyskał jedynie lekki skurcz mięśni.

Poczuł mgliście, że ktoś go obrócił. Zamrugał, oślepiony płynącym z góry zielonym światłem, i usłyszał głęboki, miękki głos mężczyzny, który odezwał się do niego z rozciągającej się za tym blaskiem ciemności.

– Skąd ci to przyszło do głowy, że mogłoby ci to ujść bezkarnie?

Campbell musiał trzykrotnie spróbować, zanim udało mu się odpowiedzieć:

– Ale co?

– Przeszpiegi. Czy Tredrick naprawdę wyobraża sobie, że jesteśmy dziećmi?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Tym razem, mówienie poszło mu dużo łatwiej. Jego ciało znowu zaczęło się pojawiać, jak coś na ekranie telewizyjnym. Próbował zacisnąć palce. Nie działało to jakoś bardzo dobrze, ale to i tak nie miało znaczenia. Jego broń zniknęła.

Coś poruszyło się za światłem. Męskie ciało, olbrzymia, poznaczona supłami mięśni postać, w kolorze ciemnego brązu. Ze straszliwym spokojem tygrysa, człowiek przykląkł koło niego. Ćwieki ponabijane na jego skórzanym kilcie, zabrzęczały delikatnie. Podstawę jego szyi ochraniał zdobiony klejnotami kołnierz z jakiegoś czerwonawego metalu. Kamienie miały złowrogi pobłysk.

Głęboki, miękki głos powiedział:

– Kim jesteś?

Campbell próbował zmusić powracające życie, aby szybciej napływało do jego ciała. Twarz człowieka skrywała się w cieniu. Campbell popatrzył do góry porywczym, pełnym furii wzrokiem, i udało mu się osiągnąć wyraźny ruch w kierunku podniesienia się.

Klęczący gigant położył na nim swoją prawą rękę. Odbijało się na niej zielone światło. Wzrok Campbella przesunął się w dół po ręce, aż do jego gardła. Jego twarz zmieniła się w ciężką nieregularną maskę, jakby wyciętą z czarnego drewna.

Ręka była silnie, pięknie umięśniona. Ale w miejscu, w którym powinna znajdować się dłoń, można było dostrzec skórzane paski i hak z wypolerowanego marsjańskiego brązu.

Campbell już wiedział, co go uderzyło. Cienka, twarda krzywizna haka, znacznie twardsza, niż krawędź jakiejkolwiek dłoni.

Czubek haka kłuł go teraz w gardło, tuż obok tętnicy po lewej stronie szyi. Mężczyzna delikatnie oznajmił:

– Leż spokojnie, mały człowieczku. Leż i odpowiadaj na pytania.

Campbell leżał więc nieruchomo. Nie pozostawało mu nic innego, co można by w tej sytuacji zrobić. Powiedział:

– Nazywam się Thomas Black, jeżeli w czymkolwiek może to pomóc. A ty, kim jesteś?

– Co ci powiedział Tredrick? Co masz zrobić?

– Odczep się w końcu ode mnie. O co ci chodzi? – Jeżeli ten Taxil miał rozesłać wieści o jego pojawieniu się, to lepiej by było, żeby się pośpieszył. Campbell zdecydował się podjąć ryzyko. Ten facet z hakiem, nie wydawał się kochać Tredricka.

– Czarny chłopak w kajucie radiowej, kazał mi wejść na pokład i czekać. On też wyglądał na nieźle wkurzonego na Tredricka. Tak samo, jak i ja. To chyba robi z nas wszystkich, dobrych kumpli, co nie?

– Łżesz, mały człowieczku. – W głębokim głosie brzmiała spokojna pewność. – Wysłano cię tu na przeszpiegi. Odpowiadaj!

Czubek haka dołożył do tego ostatniego słowa, swój wykrzyknik. Campbell skrzywił się. Wolałby, żeby ten tuman nie nazywał go „małym człowieczkiem”. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się równie beznadziejnie wystraszony.

Odparł tylko:

– Gdzie ty masz do diabła oczy, człowieku! Ja nie kłamię. Sprawdź to u Taxila. On ci powie.

– I zdradzić go Tredrickowi? Jesteś wyjątkowo niezdarny, mały człowieczku.

Hak wbił się odrobinę głębiej. Szyja Campbella zaczęła krwawić. Pod innymi względami czuł się już całkiem dobrze. Zastanawiał się nad szansami kopnięcia tego faceta w krocze, zanim jego hak rozerwie mu gardło. Próbował trochę się odsunąć, ale nie pozwalała na to ściana rury.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, spoza zielonego światła odezwał się głos kobiety. Campbell aż podskoczył. Nawet mu nie przyszło na myśl, że ktoś jeszcze może tutaj być. Teraz jednak było oczywiste, że ktoś musiał trzymać światło.

Głos powiedział:

– Zaczekaj, Marah. Zard właśnie próbuje się ze mną połączyć.

To był czysty, niski głos. Miał w sobie jakiś melodyjny ton. Campbell pokochałby go, nawet gdyby brzmiał jak zwykły rechot, ale dzięki temu jego nerwy rozdźwięczały się czystą ekstazą.

Hak cofnął się z dziury, którą wydziobał w jego szyi, ale nie odsunął się zupełnie. Campbell uniósł nieco głowę. Dolna krawędź plamy zielonego światła rozlewała się na prze stóp w sandałach. Widoczne ponad nimi gołe białe nogi, były równie piękne, jak głos, w ten sam silny, czysty sposób.

Zapadło dłuższe milczenie. Marah, człowiek z hakiem, odwrócił częściowo twarz w stronę światła. Była niemal prostokątna, pokryta bliznami i równie twarda, jak wykuta z brązu. Osadzone w niej oczy, miały kolor przydymionego bursztynu i układały się lekko skośnie pod opadającą grzywą płowych włosów.

Po dłuższym czasie, kobieta odezwała się ponownie. Tym razem jej głos miał zabrzmiał zupełnie inaczej. Był pełen gniewu, który to gniew powodował, że jej słowa wibrowały i tętniły, tak jak bęben Kraylenów.

– Ziemianin mówi prawdę, Marah. Rzeczywiście przysłał go Zard. On przyleciał tutaj w sprawie Kraylenów.

Wielki mężczyzna –– marsjański Drylander, Campbell oceniał, że gdzieś z okolic Kesh –– zerwał się na nogi, i to szybko.

– Kraylenów!

– Poprosił o pomoc dla nich, a Tredrick go odesłał. – Światło przysunęło się bliżej. – Ale to jeszcze nie wszystko, Marah. Tredrick dowiedział się o nas. Stary Ekla wygadał. Już na nas czekają, na statku!

III

Marah odwrócił się do niego. W jego oczach widać było zielonkawy, dziki błysk, jak u lwa na polowaniu. Powiedział:

– Bardzo przepraszam, mały człowieczku.

Campbell był już na nogach, w miarę spokojny.

– Nie ma co nad tym debatować – stwierdził kwaśno. – Naturalna pomyłka. – Popatrzył na hak, otarł krew z szyi i poczuł się słabo. Dodał jeszcze: – Nazywam się Black. Thomas Black.

– A może jednak, Campbell? – spytał go kobiecy głos. – A dokładniej mówiąc, Roy Campbell?

Zmrużył oczy w stronę światła, nic nie odpowiadając. Kobieta powtórzyła:

– Nazywa się pan Roy Campbell. Stosunkowo niedawno była u nas Straż, polując na pana. Zostawili nam pana zdjęcie.

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Jestem Roy Campbell.

– To – zauważył miękko Marah, – całkiem sporo zmienia! – Mógł to rozumieć w niemal dowolny sposób. Jego hak lekko zabłysnął w zielonym świetle.

– Mamy tutaj, na Romany, duży problem. Wojnę domową. Zanim ona się zakończy, będą ginąć ludzie –– a być może nawet już to się dzieje. Jak widzisz swoje miejsce w tej sytuacji?

– A skąd mam to wiedzieć? Koalicja rusza na Kraylenów. Jestem im coś winien. Tak więc przyleciałem tutaj, szukać pomocy. Pomocy! Taaa.

– Otrzyma ją pan – powiedziała kobieta. – Jakoś ją pan otrzyma, jeżeli komukolwiek z nas uda się przeżyć.

Campbell uniósł swoje ciemne brwi.

– W każdym bądź razie, co się tutaj dzieje?

Niski głos kobiety odezwał się śpiewnie, odbijając się echem od ścian rury.

– Dawno, dawno temu, było sobie parę statków. Starych statków, wypełnionych ludźmi, którzy nie mieli domów. Ludzi niewiele znaczących, dryfujących w swoim życiu, zarabiających na nie dzięki sprzedaży swoich dziwacznych wyrobów rzemieślniczych, w portach kosmicznych. Ludzi, których przeklinano, jako zagrożenie dla żeglugi, i którym nie ufano, uważając ich za złodziei. Być może nawet byli oni złodziejami. Ale było im również zimno, byli głodni i urażeni.

Przerwała na chwilę, a potem podjęła dalej:

– Po pewnym czasie, statki zaczęły się jednoczyć. Dzięki temu było im łatwiej –– mogły razem dzielić żywność i paliwo, komunikować się między sobą, wymieniać rozmaite idee. Kosmos nie był już taki samotny. Coraz więcej statków gromadziło się razem. Wkrótce było ich naprawdę mnóstwo. Nowa planeta, niemal. Nazwali to Romany, po jednym z wędrownych ludów z Ziemi, ponieważ oni również byli Cyganami, na swój własny sposób.

Dokończyła:

– Trzymali się swojego własnego stylu życia. Handlowali z hałaśliwymi, depczącymi po sobie ludźmi, zamieszkującymi planety, z których oni zostali wygnani, ponieważ byli do tego zmuszeni. Ale nienawidzili ich i sami byli znienawidzeni, tak jak to zawsze było w przypadku Cyganów. To nie było łatwe życie, ale przynajmniej byli wolni. Jak długo mieli swoją wolność, mogli osiągnąć wszystko. I zawsze, wszędzie, w całym Układzie Słonecznym, jeżeli jakieś małe zagubione plemię połykane było przez wielkich, i potrzebowało pomocy, Romany wyruszało, aby mu tej pomocy udzielić.

Jej głos przycichł. Campbellowi ponownie przypomniał się bęben Kraylenów, gniewnie śpiewający podczas ciemnobłękitnej nocy.

– Taka była wiara Romany – wyszeptała cichym głosem. – Zawsze pomagać, zawsze udzielać schronienia małym ludziom, którzy nie potrafili przystosować się do postępu, którzy chcieli jedynie umrzeć w godności i pokoju. A teraz…

– A teraz – otrzeźwiającym tonem dokończył Marah, – mamy wojnę domową.

Campbell wciągnął głęboki, niepewny oddech. Głos kobiety huczał mu w głowie, a gardło miał mocno ściśnięte. Powiedział tylko:

– *Tredrick*?

Marah skinął głową.

– Tak, Tredrick. Ale tu chodzi o coś więcej. Gdyby to był tylko problem Tredricka, nie byłoby aż tak bardzo źle.

Pogładził się zakrzywionym brzegiem swojego haka po pokrytym bliznami podbródku, a oczy zapłonęły mu jak płomienie świec.

– Romany starzeje się i robi się miękkie. Oto jest prawdziwy problem. Rozkład. W przeciwnym razie, Tredrick już dawno temu zostałby wykopany w kosmos. W radzie zasiadają starzy ludzie, Campbell. Myślą bardziej o swojej wygodzie, niż o –– no cóż…

– Taaa. Wiem. Jakie więc jest stanowisko Tredricka?

– Nie wiem. To dziwny człowiek –– wyślizguje się z każdego uścisku jak piskorz. Czasami wydaje mi się, że on pracuje dla Koalicji.

Campbell rzucił groźne spojrzenie.

– To może być prawda. Wy, Cyganie, macie mnóstwo dzikich talentów i ludzi o pewnych unikatowych umiejętnościach –– paru z nich już kiedyś spotkałem. Człowiek, który zdobyłby nad nimi kontrolę, mógłby tylko siedzieć i liczyć kasę. Koalicji też by się to podobało.

Kobieta dodała gorzkim głosem:

– No i zawsze mogliby zrobić z nas cyrk objazdowy. Wycieczki, z ogromną liczbą atrakcji. To taka wspaniała osobliwość –– przekrój przez życie zaginionego świata!

– Tredrick to silny człowiek – mówił dalej Marah. – Eran Mak jest Przewodniczącym Rady, ale on robi tylko to, co każe mu Tredrick. Idea jest taka, że Romany ma się osiedlić w jednym miejscu i przestać pakować się w kłopoty z Koalicją Planetarną. Możemy otrzymać regularne orbity, mieć regularny handel, i tak dalej.

– Innymi słowy – sucho stwierdził Campbell, – przestać być Romany.

– Zrozumiałeś. Mamy zostać zwierzaczkami domowymi, dziwowiskiem, atrakcją turystyczną, źródłem sutych dochodów. – Znów dziki rozbłysk na haku. – Przeklętym cyrkiem!

– I Tredrick, o ile dobrze załapałem, zdecydował, że wy, wasz bunt, zagrażacie przyszłości Romany, i postanowił wziąć was pod swój twardy but?

– Dokładnie. – Żółte oczy Maraha, były jasne i twarde, śmiało odpowiadały na spojrzenie Campbella.

Campbell pomyślał o czekającym na zewnątrz Fitts-Sothernie oraz o wszystkich tych samotnych regionach kosmosu, do których mógł nim polecieć. Było przecież tyle statków Koalicji do obrabowania, parę przeżartych zgnilizną miejsc, w których można było wydać łupy. Wszystko, co musiał zrobić, to tylko wyjść stąd.

Słyszał jednak ciągle głos kobiety z dźwięczącą w nim nutą podobną do śpiewu gniewnego bębna. Również także głos starego człowieka, szepczący: „Mali ludzie, tacy jak ty, mój synu?”.

To zabawne, jak długo człowiek może być sam i w ogóle o to nie dbać, a potem nagle wpaść na zupełnie obcych ludzi, i nigdy więcej nie móc już znieść samotności –– to jest, samotności w sercu –– wiedzieć że *obchodziło* go to, jak jasna cholera.

Właśnie tak było w przypadku Kraylenów. Tak samo było również i teraz. Campbell wzruszył ramionami.

– Pokręcę się trochę tutaj, po okolicy.

Potem dodał jeszcze z irytacją:

– Siostro, na miłość Boską, czy może pani zabrać to światło z moich oczu?

Odsunęła się, kierując snop światła w dół.

– Nazywam się Stella Moore.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przepraszam. A więc, pomimo wszystko, ma pani twarz.

Twarz nie była piękna. Była blada, w kształcie serca, obramowana masą rozwichrzonych czarnych włosów. Pod ciemnozłotymi brwiami, które nigdy nie widziały szczypczyków, znajdowały się szare, podłużne oczy, a jeszcze niżej czerwone, ponure usta.

Kiedy się uśmiechała, zęby miała białe i nierówne. Od razu mu się spodobały. Czerwień jej ponurych warg, była ich naturalnym kolorem. Miała na sobie krótką tunikę w kolorze gron tokaju, a widoczne pod nią ciało było długie i dobrze zbudowane. Jej ręce i szyja cechowała biel perły.

Marah cicho powiedział:

– Skontaktuj się z Zardem. Każ mu przełączyć system PA na szeroko otwarty i powiedz mu, że teraz zabieramy statek, żeby przywieść Kraylenów!

Stella stała zupełnie nieruchomo. Jej szare oczy przyjęły niesamowity, odległy wygląd, i Campbell lekko zadrżał. Dosyć często widywał telepatów, w różnych zapadłych dziurach Układu, ale nigdy nie wydawało mu się to normalne.

– Zrobione – wkrótce oznajmiła dziewczyna i ponownie stała się człowiekiem. Zielone światło zgasło. – Energia – wyjaśniła. – Poza tym nie będziemy go potrzebować. Proszę mi podać swoją rękę, panie Campbell.

Zrobił to, natychmiast, z najwyższą gorliwością.

– Moi przyjaciele – zaproponował, – generalnie mówią do mnie Roy.

Roześmiała się w odpowiedzi, i ruszyli w drogę, poruszając się szybko i pewnie, w czarnej, lodowato zimnej ciemności.

Statek do którego zmierzali, jak się okazało, znajdował się wyżej, na drugim poziomie, w pobliżu kwater mieszkalnych. Tu na dole, umieszczona była cała maszyneria, która utrzymywała Romany przy życiu –– ogrzewanie, oświetlenie, woda, powietrze, systemy chłodzenia –– i wiele kadłubów statków, przeznaczonych na magazyny.

Trzecia warstwa, była ogromną farmą hydroponiczną, na której rosły zboża na ziarno, owoce i warzywa, dostarczające żywności dla tysięcy zamieszkujących Romany ludzi.

Przepychając się przez rury i częściowo rozebrane kadłuby statków, pachnące workami, suszonymi roślinami i olejem, Campbell uzupełniał swoje luki w wiedzy.

Przywódcy buntowniczego elementu, zebrali się tutaj na dole na potajemne spotkanie. Marah i dziewczyna, właśnie z niego wracali, kiedy na nich wpadł Campbell. Podjęta została decyzja, o ratowaniu Kraylenów, niezależnie od tego, co się wydarzy.

Wiedzieli o sytuacji Kraylenów, na długo wcześniej, zanim dowiedział się o niej Campbell. Cyganie handlujący w Lhi, przynieśli im wiadomości. Teraz więc, Krayleni stali się symbolem, o który, ze śmiertelną zażartością, zderzyły się oba punkty widzenia.

Przypominając sobie szczupłą, surową twarz Tredricka, Campbell zastanawiał się z niepokojem, jak wielu z nich będzie ciągle żyło, kiedy uda im się zabrać stąd ten statek.

Stopniowo zaczęły docierać do niego urywane, rytmiczne uderzenia i szczęknięcia, niosące się po metalowych ścianach.

– Młotki – przyciszonym głosem poinformowała go Stella. – Ludzie z młotami, nitownicami i spawarkami, nieustannie walczą z rdzą i starością, aby utrzymać Romany przy życiu. Każdy skrawek tego świata, został kiedyś przez kogoś uznany za bezużyteczny śmieć i odzyskany przez nas z odpadków.

Jej głos jeszcze bardziej przycichł.

– Włączając w to również i ludzi.

Campbell odparł:

– W obecnych czasach, wyrzuca się na śmietnik, naprawdę piękne rzeczy.

Zrozumiała o co mu chodzi. Nawet leciutko się uśmiechnęła.

– Ja urodziłam się na Romany. Ale na Ziemi jest wielu ludzi, którzy nie mogą sobie znaleźć miejsca w domu.

– Wiem. – Campbell przypomniał sobie farmę swojego ojca, nad polami której rozciągał się błękit zimnej wody, zamiast nieba. – A Tredrick?

– On również urodził się tutaj. Ale w nim jest jakaś skaza… – Złapała głęboki oddech, z nagłym ostrym krzykiem: – Marah! Marah, *to Zard*!

Zatrzymali się. Campbellowi pod szczęką, zaczął łomotać puls serca. Stella wyszeptała:

– On nie żyje. Czułam jak mnie wzywa, ale już nie żyje. Próbował nas ostrzec.

Marah stwierdził ponurym tonem:

– A więc, Tredrick go dostał. Prawdopodobnie musieli go zabić, kiedy próbował uciec z kabiny radiowej.

– Był bardzo przerażony – cicho powiedziała Stella. – Tredrick coś przygotował. On chciał nas ostrzec.

Marah chrząknął:

– Campbell, trzymaj swój pistolet w gotowości. Teraz, wchodzimy na górę.

Weszli na górę po drewnianej drabinie. Nagle zrobiło się gorąco. Campbell pomyślał, że pewnie Romany znalazła się z powrotem w pełnym słońcu. Marsjanin, bardzo, bardzo powoli, otworzył znajdującą się na górze klapę.

Młody, dźwięczny głos zawołał śpiewnie na zewnątrz:

– Wszystko w porządku!

Za klapą zebrała się spora grupa ludzi. Czterech, czy pięciu potężnych młodych barbarzyńskich Paniki, z Wenus, stało uśmiechając się szeroko, koło dwóch związanych i drzemiących sobie słodko Ziemian.

Campbell powiódł wzrokiem obok nich. Powietrze było nieruchome i gorące, z wiszącą w nim zasłoną parnej mgiełki. Podłoga pokryta była omszałą ziemią, poznaczoną kałużami ciepłej wody. Były również drzewa *liha*, pokryte skraplającą się parą i zielone, w perłowym świetle, które ciągle przebijało się przez zmrok w kolorze indygo.

Mgłą i drzewami *liha* poruszał powolny, gorący powiew wiatru. Pachniał ciepłą, zastałą wodą, bujnie rosnącą zielenią i… wolnością.

Campbell wziął długi, głęboki oddech. Oczy kłuły go i żyły w karku bolały jak diabli. Wiedział, że to jest tylko zamknięty kadłub martwego statku, zaś ponad perłowo-szarą mgłą znajduje się żelazne niebo. Ale tu pachniało wolnością.

Powiedział tylko:

– Na co czekamy?

Marah roześmiał się, podobnie jak i młodzi Wenusjanie. Barbarzyńcy, idący w bój i śmiejący się na jego perspektywę. W szarych oczach Stelli nadal płonął porywczy płomień, a jej wargi były krwisto-pomarańczowe i drżały.

Campbell ucałował je. On również roześmiał się miękko i powiedział:

– No dobrze, Cyganie. Chodźmy.

I poszli, przez siedem statków Kwartału Wenusjan. Z powodu Kraylenów większość Wenusjan była z buntownikami, ale nawet pomimo tego, unosiły się gniewne głosy i pięści, a w paru przypadkach również i broń, w wyniku czego doszło do rozlewu krwi.

Przyłączyli się do nich kolejni gorąco-głowi młodzi ludzie, oraz przysadziści, mali nomadzi z wyżyn, którzy potrafili rozmawiać ze swoimi zwierzętami i trzech wężowatych, czwororękich pełzaczy z bagien Lohari.

Wkrótce dotarli do ogromnego opróżnionego transportowca, na krawędzi Kwartału Wenusjan. W pobliżu leżało na stosach, mnóstwo rozmaitych towarów, czekających na załadowanie przez rząd śluz powietrznych, na mniejsze statki handlowe. Marah stanął, klejnoty na jego kołnierzu, rzucały groźne błyski, w świetle słonecznym, wlewającym się przez na wpół przysłonięte porty widokowe, zaś pozostali napływali i zbierali się za nim.

Stali w wąskiej galerii, na wpół drogi wzdłuż jej wewnętrznej ściany. Campbell popatrzył na dół. Na drabinkach i na poziomie dwa balkony niżej, zebrało się wielu ludzi. Ponury, gniewny tłum ludzi z Ziemi, z Wenus, z Marsa, z Merkurego, oraz z księżyców Jowisza i Saturna.

Ludzie, niemal ludzie i prawdziwe potworności, milczący i obserwujący w gorącym świetle. Tu i tam świeciły się grzebienie szkarłatnych wypustek, gdzie indziej odblask wijących się, pokrytych łuskami, czarnych pleców, a ponad głowami, złowieszcze błyski światła na powoli poruszających się mackach.

W pewnej chwili, jakieś stworzenie wyglądające jak ogromny niebieski pająk z dziecięcą twarzą, wydało z siebie ostry, nieziemski wrzask:

– Zdrajca! Zdrajca!

Cała, stłoczona masa ludzi na drabinach i galeriach, poruszyła się jak niesamowity dywan, falujący w porywie wiatru. Pędzący szmer ich ruchu, ich oddechów oraz ich gniewu, przeszył nerwy Campbella igiełkami ognia.

Gniew. Gniew płynący z bębna Kraylenów, z głosu Stelli oraz z żółtych oczu Maraha. Gniew podobnie pierwotny i gorący, jak światło słońca. Gniew małych ludzi, wzbierający do wielkich rozmiarów.

Ze znajdującego się niżej pokładu odezwał się jakiś głos, zimny, czysty i bez śladu drżenia.

– Nie chcemy żadnych kłopotów. Wróćcie spokojnie do swoich kwartałów.

– *Krayleni!*

Nazwa ta uderzyła jak grzmot, wyrzucona z tych wszystkich gniewnych gardeł, spadając prosto na wychudzoną, wyprostowaną postać, stojącą przed kręgiem straży Ziemian, pilnującej śluz z gotową do strzału bronią.

Cienka, ruda głowa Tredricka, nawet odrobinę nie odchyliła się od pionu.

– Los Kraylenów, nie leży już obecnie w naszych rękach. Udzielali schronienia niebezpiecznemu przestępcy, i teraz właśnie są wiezieni w Lhi, aby odpowiedzieć za swoje czyny.

Roy Campbell chwycił za znajdującą się przez nim żelazną barierkę. Wydawało mu się, że niemal jest w stanie zobaczyć, jasny płomień zimnej satysfakcji w oczach Tredricka, pomimo całej odległości jaka go od niego dzieliła.

Cienki, spokojny głos przebił się przez bębenki jego uszu, z okrutną bezosobowością skalpela chirurga.

– Ten przestępca, Roy Campbell, jest teraz na Romany. Straż jest już w drodze do nas. Przez pamięć bezpieczeństwa waszych rodzin, dla przyszłości Romany, radzę wam nie ukrywać go dłużej, ani pomagać mu w ucieczce.

IV

Campbell stał w miejscu, nie poruszając się, ani nic nie mówiąc, a jego twarda, ciemna twarz, porysowana i martwa, wyglądała jak

wyrzeźbiona ze starego drewna. Jak gdyby z wielkiej odległości, usłyszał wściekłe przekleństwo zduszone przez Moraha, szybkie sapnięcie Stelli, łapiącej głębiej powietrze, nagłe westchnienia i szmery pośród tłumu, który nie był już tak do końca pewny, co chce zrobić.

Ale jedyne co widział, to blada, łagodna twarz starego człowieka, uśmiechającego się w ciepłym, niebieskim zmroku, i brudne, obskurne kamienie Lhi.

Gdzieś z okolicy kręgu uzbrojonych ludzi doleciał kolejny głos. Campbell odbierał go jedynie niewielką częścią swojego umysłu. Stary głos, suchy i szeleszczący, pełen wielkiej godności i wielkiego bólu.

– Moje dzieci – oświadczył wszystkim. – Zachowajcie cierpliwość. Miejcie wiarę, że my, wasi przywódcy, mamy na sercu wyłącznie dobro Romany.

Campbell popatrzył martwymi, pociemniałymi oczyma, na stojącego obok Tredricka mówcę. Był to mały człowiek, w szatach z białego futra. Marsjanin, z okolic jednego z Miast Polarnych, kruchy, czarnooki, poważny i delikatny, ale jednocześnie pełen siły.

– Przypomnijcie sobie głód i niepewność, jakie cierpieliśmy. Teraz mamy szansę na bezpieczeństwo i pokój. Kiedy przybędzie Straż, nie sprawiajcie im żadnych problemów. Rozejdźcie się w spokoju do swoich kwartałów.

– Problemy! – w gorącym, nieruchomym powietrzu zahuczał głos Maraha. Wszystkie twarze zebranych na dole ludzi, uniosły się w stronę balkonu. Campbell zauważył, że Tredrick gorączkowo drgnął i zaczął rozmawiać z jednym ze strażników. Strażnik gdzieś odszedł, ale niezbyt szybko. Campbell zaklął pod nosem, a jego serce zaczęło ponownie bić, szybko i mocno.

Marah, brązowy tytan z porywczym błyskiem w oku, grzmiał dalej:

– Ty, Eranie Mak, Marsjaninie! Czy zapomniałeś już o Kesh, Balakar i Wodospadach Tamboina? Czy masz zamiar pełzać do stóp Koalicji, jak *sindar*, jedynie dla kości, jakie ci rzucą? A ty Tredricku, posłuchaj! Sprzedałeś nas! Od kiedy to wzywa się *latników*, aby mieszali się w sprawy Romany!

Zimny głos Tredricka, był absolutnie spokojny.

– Krayleni są poza waszym zasięgiem, Marah. Bunt, nic wam nie da. Czy chcecie mieć krew na rękach?

– Oto moja ręka – delikatnie odparł Marah. Jego hak zatoczył groźny łuk, błyszcząc w gorącym powietrzu. – Jeżeli jest na niej jakaś krew, to tylko moja własna, którą rozlała Koalicja, kiedy Szeryf Graniczny obciął mi prawą rękę, za uniesienie jej przeciw niemu.

Tłum poruszył się i zamruczał. Campbell powiedział szybko:

– Tredrick ma rację. Ale ciągle jest jeszcze szansa, jeżeli tylko będziecie chcieli ją podjąć.

Stella Moore położyła dłoń na ramieniu Maraha.

– Jaka?

Tredrick nadal udawał, że nie widzi Campbella, jak również, że nie było żadnych ludzi skradających się w ciemnych tunelach, aby go schwytać.

– To będzie oznaczało kłopoty. To może oznaczać śmierć lub więzienie. To szansa jedna na milion. Lepiej zostawcie mnie w spokoju i zapomnijcie o wszystkim.

Czubek haka Maraha ukłuł go pod brodą.

– Mów szybko, mały człowieczku!

– Okej. Każ im, żeby się uspokoili. A potem wydostań mnie stąd, i to szybko!

Ludzie Tredricka wiedzieli w jaki sposób zajść ich od tyłu. Ponadto wielu Cyganów, którzy nie byli z Tredrickiem, przyłączyło się do polowania na *latnika*. Nie chcieli kłopotów ze Strażą.

Campbell przedzierał się na ślepo przez labirynt ciemnych, zatęchłych przejść, trzymając rękę Stelli i walcząc z myślą o zbliżających się z pełną szybkością, statkach Straży. Próbując przedostać się przez Romany, do jego statku, kilkanaście razy niemal zostali schwytani.

Polowanie to wydawało się stanowić ujście uczuć kotłujących się w Romany. Campbell pomyślał sobie, że wolałby już nigdy więcej nie być ścigany. I właśnie wtedy, tuż ponad miejscem, w którym znajdował się jego statek, wpadli w pułapkę.

Znajdowali się w Kwartale Saturniańskim, w kadłubie poświęconym dla uchodźców z Tytana. Działały w nim urządzenia chłodzące. Nagie skały pokrywał śnieg, migoczący w niesamowitym świetle jak ciemne tęcze.

– Jaskinie – powiedziała Stella. – To Baraki.

Wszędzie wokół nich, setkami ech rozbrzmiewała wrzawa głosów, tupotu stóp, stukotów i brzęków metalowych przedmiotów o oblodzoną skałę. Biegli ze wszystkich sił, ciężko oddychając. Minęli jakieś niskie klify i skalne występy, a następnie dobiegli do jaskiń, z płonącymi w nich, dziwnymi niebiesko-fioletowymi ogniami.

W wejściach jaskiń, siedziały jakieś stworzenia. Były niewielkie, mniej więcej antropoidalne, blade jak śmierć, i sprawiały nieprzyjemnie gumiaste wrażenie. Były zupełnie nagie, a ich pojedyncze oczy wyraźnie fosforyzowały. Marah przyklęknął przed nimi.

– Mali Ojcowie, prosimy was o schronienie, w imię wolności.

Krzyki i odgłosy stóp robiły się coraz bliższe. Na czole Campbella pojawił się pot. Jedno z białych stworzeń lekko skinęło głową.

– Żadnych zakłóceń – wyszeptało. – Nie chcemy żadnych zakłóceń naszych myśli. Możecie uzyskać schronienie, aby powstrzymać ten obrzydliwy hałas.

– Dziękuję ci, Mały Ojcze.

Marah zanurkował do jaskini, a pozostali tuż za nim. Campbell ostro warknął:

– Przyjdą tu naszym tropem i nas złapią!

Ponure wargi Stelli uniosły się w wilczym uśmiechu.

– Nie. Popatrz.

Jaskinie, fioletowe ognie, to wszystko nagle zniknęło. Otoczyła ich dziwaczna ciemność, a Campbell poczuł lekkie elektryczne mrowienie, przebiegające mu przez skórę. Drgnął, a dziewczyna wyszeptała:

– Telekineza. Zbudowali mur wokół miejsca, w którym w tej chwili jesteśmy. Z zewnątrz wygląda on jak zwykła ściana skalna, zamykająca jaskinię.

Marah poruszył się, metalowe ozdobne ćwieki na jego kilcie, leciutko zabrzęczały.

– Jak te świnie już sobie pójdą, to z tego kadłuba jest trap, prowadzący na dół, do rury przy której zacumowany jest twój statek. Powiedz nam teraz, jaki jest twój plan.

Campbell roześmiał się, krótko i gorzko.

– Plan, do diabła! To jest hazard przeciwko zatrzymującemu się już kołu rulety i jesteście głupcami, jeżeli chcecie na to postawić.

– A jeżeli nie będziemy chcieli?

– Ja, lecę niezależnie od tego. Krayleni… no cóż, jestem im coś winien.

– Opowiedz nam o swoim planie.

Opowiedział im, szybkimi, nerwowymi zdaniami, przykucając za chroniącą ich, ścianą myśli pochodzących z tych obcych mózgów. Marah roześmiał się delikatnie.

– Na bogów, mały człowieczku, powinieneś być Keshi!

– Mogę wymyślić całą masę rzeczy, które powinny być czymś innym niż są – kwaśno odparł Campbell. – Hej, znika nasza ściana.

Zostali tam nie dłużej niż cztery minuty. Na tyle długo tylko, aby rozejrzeć się dookoła i ruszyć w dalszą drogę. Nadal mogli jeszcze zdążyć przed przylotem Straży.

Zdążyli, w ostatniej chwili. Ich odlot, nie mógłby być lepiej zgrany w czasie. Campbell wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, z delikatną precyzją sterując mocą pracy silników.

Nie miał nawet teoretycznych szans. Wydawało mu się, że szanse Cyganów, na przejście przez to wszystko, są jeszcze mniejsze. Ale Krayleni nie będą gnili w zagrodach niewolniczych Lhi, z powodu Roya Campbella.

A przynajmniej nie, dopóki Roy Campbell pozostawał przy życiu i mógł coś w tej sprawie wymyślić. A to, oczywiście, mogło oznaczać, niezbyt długo.

Pomknął Fitts-Sothernem z dużą szybkością, w kierunku nocnej strony Wenus, pozostając przez cały czas na widoku, i ze zduszoną mocą silników. Statki Straży, dziewięć szybkich łodzi patrolowych, rzuciły się za nim w pogoń, pozostawiając Romany w spokoju. Nie było sensu, aby się tam zatrzymywać. Ten smukły, czarny statek był niemożliwy do pomylenia, tak samo jak nie budziło wątpliwości, czyje ręce spoczywają na jego sterach.

Campbell uderzył palcami w klawisze odpalające kolejne silniki, i Fitts-Sothern zamruczał pod nim, jak kot. Przez jakąś sekundę nie był w stanie wyraźnie widzieć, przez zasnuwającą oczy wilgotną mgiełkę.

– Przepraszam cię bardzo, stary druhu – powiedział. – Ale to musi odbyć się w taki sposób.

To był wspaniały pościg. Statki Straży użyły wszystkich sztuczek, jakie znały ich załogi, a znały one ich naprawdę mnóstwo. Campbell siedział pochylony nad klawiszami, spocony jak mysz, a jego ciemna twarz zastygła w uśmiechu, w którym nie było nawet śladu wesołości. Tylko jego dłonie poruszały się, z nerwową delikatnością i szybkością.

I tylko dzięki statkowi udało mu się osiągnąć swój cel. Zarzucali na niego promienie ściągające, a on przełamywał ich działanie, próbowali go otoczyć, a on im się wymykał. To smukłe ostrze mocy, ten niewielki margines przewagi szybkości, wyciągnęły Roya Campbella z sytuacji, która na pierwszy rzut oka wyglądała, na błyskawiczną, łatwą zdobycz.

Dostał się w końcu do cienia, a wtedy Straż zaczęła się bać, że im ucieknie, co skutkowało z ich strony złością i gniewem. Już nie próbowali go schwytać. Odbezpieczyli swoje blastery i zabrali się do roboty.

Campbell oddychał teraz głęboko, przez zaciśnięte zęby. Jego ciemna skóra błyszczała od potu, ciasno opinając kości, wypukłości mięśni i splecionych żył. Celowo, nieznacznie zwolnił.

Wzdłuż portów na sterburcie, błysnęło wyładowanie energii. Zwolnił jeszcze bardziej, i skręcił, ale tylko odrobinkę. Fitts-Sothern, był pod jego rękoma, jak żywa istota.

Nic nie powiedział, kiedy następne wyładowanie uderzyło w statek. Nawet nie zaklął. Nie zauważył, że płacze, dopóki nie poczuł soli na wargach. Wydostał się z fotela pilota, po czym wypowiedział tylko dwa słowa:

– *Ty Judaszu!*

Na skutek ostatniego strzału, wybuchł pulpit sterowniczy. Eksplozja odrzuciła go do tyłu, przez cały kokpit, poranionego i poparzonego od topiących się, metalowych elementów. Jakoś udało mu się pozbierać na nogi i ruszył korytarzem, do przedziału śluzy. Z policzka mocno mu ciekła krew, ale nie zwracał na to uwagi.

Zdawało mu się, że czuje jak statek umiera pod jego stopami. Przyrządy zostały zniszczone. Fitts-Sothern leciał dalej po szalonej, niekontrolowanej spirali, rozrywającej płyty jego pancerza na kawałki.

Wcisnął się do swojego skafandra. To był specjalnie przygotowany egzemplarz, czarny aż po sam hełm, ze specjalnym plecakowym silnikiem rakietowym, nielegalnie podrasowanym. Miał tylko nadzieję, że jego dłonie nie zostały poparzone zbyt mocno.

Statek brutalnie zatrzymał się w miejscu, rzucając nim mocno o gródź. Promienie ściągające! Wczepił się w dźwignię włazu, ze zwierzęcym kwileniem, wzbierającym w gardle. Oby tylko nie zwymiotował wewnątrz hełmu.

Właz otworzył się. Powietrze wyrzuciło go na zewnątrz, w czarną jak atrament przestrzeń kosmiczną. Malutki wydłużony jak włócznia, płomień silnika plecakowego, rozbłysnął tylko na chwilkę i zgasł, umykając uwadze ścigających, pośród gorejących ogni wraku.

Campbell unosił się, zupełnie bez ruchu, w poczernionym skafandrze. Statki Straży przemknęły obok niego, szarpiąc Fitts-Sothernem jak marlinem na wędce, przy pomocy swoich promieni ściągających. Campbell zamknął oczy i przeklinał ich, powoli i bez śladu emocji, dopóki knebel w gardle nie zdusił jego słów.

Dał im czas, aby odlecieli nieco dalej. Potem nacisnął wyzwalacz silnika rakietowego, zmierzając prosto w dół, w kierunku okrytych całunem ciemności bagien Prowincji Tehara.

Nie zachował żadnych wyraźnych wspomnień z tego lotu w dół. Raz, kiedy był już dosyć nisko, ponad nim rozbłysnął ogień statku kosmicznego, kierującego się w stronę Lhi. Pozostało mu jeszcze nadal mniej więcej osiem godzin ciemności nad bagnami.

W końcu wylądował, na polanie. Był niemal pewien, że wiedział o tym jedynie on. Korzystał z tego miejsca już wcześniej, kiedy miał jakiś towar do przechowania w Lhi i nie był pewien, kto właśnie rządzi w mieście. Nauczył się, aby w tego typu sprawach, być bardzo ostrożnym.

Stał tam już jakiś statek, niewielki handlowiec, między-księżycowego typu. Gapił się na niego, nie mogąc tak do końca uwierzyć, że tam był. Potem, dosłownie w ostatniej chwili, zdjął z głowy hełm.

Kiedy świat przestał kręcić się jak na karuzeli, ocknął się leżąc, z głową na łonie Stelli. Zmieniła swoją tunikę na czystą czerń ludzi kosmosu, i dzięki temu jej twarz wyglądała na jeszcze bardziej białą i piękniejszą, w otoczce jej czarnych włosów. Wargi dziewczyny, nadal wyglądały ponuro i były czerwone.

Campbell usiadł i pocałował je. Od razu poczuł się dużo lepiej. Nie dobrze, ale uznał, że jakoś przeżyje. Stella roześmiała się i stwierdziła:

– No, dobrze! Widać, że wracasz do siebie.

Campbell odparł:

– Siostrzyczko, jesteś najlepszym lekarstwem na wszystkie dolegliwości.

W ciemnobłękitnym zmroku nagle zmaterializowała się obok niego dłoń, którą rozpoznał jako należącą do Maraha. Trzymała ona płaską flaszkę. Campbell chętnie ją przyjął. Wkrótce lodowata martwota otaczająca jego żołądek, zaczęła z wolna odtajać, i był w stanie lepiej spojrzeć na cały bieg spraw.

Wstał na nogi, raczej niepewnie i zaczął szukać po kieszeniach papierosa. Koszula została z niego w większości zdmuchnięta przez wybuch, a reszta spalona na popiół. Ręce bolały go jak diabli. Stella dała mu dymka i podała ogień. Zaciągnął się z wdzięcznością i oznajmił:

– No dobra, dzieciaki. Czy wszyscy gotowi?

I wszyscy byli.

Tak więc Campbell rozpoczął akcję. Na początek opróżnił do końca płaską flaszkę i z zadowoleniem zauważył, że jego organizm działa już na najwyższych obrotach. Poczuł się swobodny, odprężony i gotów na wszystko. Miał tylko nadzieję, że alkohol nie zużyje się za szybko.

Przez okoliczne gęsto zarośnięte pagórki, bagna, zagłębienia terenu porośnięte trzcinami oraz drzewami *liha*, prowadziła ścieżka. Tylko Campbell, który ją sam wydeptał, był w stanie nią poprowadzić. Przypominając sobie swoje błądzenie na ślepo, po labiryncie Romany, poczuł się z tego zadowolony. Oznajmił, z niekłamaną satysfakcją:

– Uważajcie, żeby się nie poślizgnąć. Jak wam się udało wydostać z Romany?

Marah odpowiedział mu krótkim, ponurym śmiechem.

– Romany, podczas tej pogoni za tobą, stało się jednym wielkim domem wariatów. Niektórzy z chłopców, o co bardziej gorących głowach, rozpoczęli na tym tle, pomniejsze wojenki z policją. Tredrick musiał wykorzystać większość swoich ludzi do zapewnienia porządku. Poza tym, oczywiście, wydawało mu się, że pobił nas na głowę w sprawie Kraylenów.

– Było tylko czterech ludzi, pilnujących śluz – dodała Stella. – Zajęli się nimi Marah i czterech chłopców Paniki.

Campbell przypomniał sobie statek kosmiczny pędzący w kierunku Lhi. Opowiedział im o nim.

– To mógł być Tredrick, lecący tam, aby osobiście nadzorować naszą klęskę.

Klęska! Oczywiście, spowodowane to było tym, że był lekko wstawiony, ale nie wydawało mu się, aby ktoś mógł go pokonać tej nocy. Roześmiał się głośno.

W odpowiedzi na ten śmiech, coś z ciemnobłękitnej nocy zburzyło spokój jego myśli. Coś tak nieokreślenie słodkiego i delikatnego, że zachciało mu się płakać, a potem wstrząsnęło nim z głęboko ukrytą i stalową siłą w środku. Campbell obejrzał się do tyłu przez ramię. Pomyślał sobie:

– Niech mnie diabli. Jeżeli to w ogóle możliwe jest do zrobienia, to ci ludzie to zrobią.

Tuż za nim podążała Stella. Dalej szedł szczupły mały człowieczek z czterema rękoma. Nie nosił żadnego ubrania, okrywało go tylko jego własne białe futro, a głowę wieńczyła mu korona z pierzastych antenek. Nawet w niebieskich ciemnościach nocy, antenki i oczy mężczyzny płonęły jaskrawym szkarłatem.

Pochodził z Callisto, zaś w czworgu swoich rękach dźwigał jakiś przedmiot, z grubsza przypominający harfę, tyle że miała ona podwójny zestaw strun, na skos, w obie strony. Jeżeli była to harfa, o której opowiadano, Campbell wolałby, żeby nigdy nie zagrała ona przeciwko niemu.

Marah zamykał tyły, kołysząc się z nogi na nogę, bez żadnego szacunku dla dźwiganego przez siebie brzemienia. Nad jego nagim ramieniem, Campbell widział spokojną, białą twarz Baraki z Tytana, jednego z Małych Ojców, którzy uratowali ich przed pościgiem. Wielkie ciało Marsjanina opasywały macki niesionej istoty, wyglądające jak białe liny.

Czwórka Cyganów i wróg publiczny. Piątka niewiele znaczących szarych ludzi, przeciwko Koalicji Terro-Wenusjańskiej. To nie miało sensu.

Gorący, powolny podmuch poruszył drzewami *liha*. Campbell odetchnął nim głęboko i wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

– Gdzie to jest? – zastanawiał się przez chwilę, i podszedł aby w pewnym miejscu rozchylić plątaninę gałęzi. Za nią znajdował się wyłożony kamieniami tunel.

– Drogie dzieci, teraz pójdziemy tędy. Złapcie się grzecznie za rączki i bądźcie cichutko, jak małe myszki.

Złapał swoją lewą ręką dłoń Stelli. Ponieważ należała ona do Stelli, nie myślał, żeby miała ona coś przeciwko temu. W prawej ręce natomiast, trzymał pistolet.

IV

Prowadził ich szybko i cicho, nieużywanym już odgałęzieniem starego systemu irygacyjnego, które tak często wykorzystywał w przeszłości, do swoich własnych celów. Po pewnym czasie zeszli na niższy poziom, do właściwego systemu odprowadzającego wodę.

Kiedy padały deszcze, kanały były pełne wody. Teraz sączyła się nimi jedynie niewielka stróżka. Brnęli w zupełnych ciemnościach, ominęli stację pomp, korzystając z bocznego tunelu, używanego niegdyś jako chłodnia przez zapobiegliwych biznesmenów z Lhi, a potem znaleźli strome, śliskie schody, prowadzące w górę.

– Ostrożnie! – szepnął Campbell. Zatrzymał się na wąskim podejściu do drzwi i stał nasłuchując. Callistianin wyszeptał z lekkim rozbawieniem:

– Tam, na zewnątrz, nikogo nie ma.

Antenki nad uszami. Campbell uśmiechnął się i znalazł ukrytą dźwignię.

– W Lhi jest pełno takich miejsc – powiedział. – Ci chłopcy mają w zwyczaju prowadzić swoje małe wojenki, tak po prostu, dla zabawy. A każdy sprytny gość ma parę mysich dziur, w których może się ukryć. Mapy idą po bardzo wysokich cenach.

Wyszli w bardzo głębokiej i bardzo ciemnej piwnicy. Panowała w niej kompletna pustka i spokój. Campbell poczuł lekki smutek. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy U Maka Marsjanina, było najbardziej oblężonym złodziejskim rynkiem w Lhi, i człowiek mógł obejrzeć tu nawet walki. Uśmiechnął się tylko gorzko i poprowadził grupę schodami do góry.

Wkrótce wyglądali z okna na zewnątrz, obserwując z góry główną bramę, główny plac i niewolnicze więzienia Lhi. Otaczające je ulice były puste, budynki w większości, ciemne. Koalicja z pewnością kazała je opróżnić, kiedy przejęła władzę nad miastem. Sprawiało to strasznie przygnębiające wrażenie.

Campbell wskazał ręką.

– Komitet powitalny. Tredrick musiał co najmniej przesłać informacje przez radio. Założyłbym się o dwie dychy, że wyruszył za nimi osobiście.

Brama była zalana potokami światła, rozlewającymi się na szerokim obszarze, i kręciło się wokół niej całe mnóstwo groźnie wyglądających ludzi, z ciężkimi karabinami igłowymi. Wprowadzone ostatnimi czasy ładunki znieczulające, pozwalały na bardzo efektywny ostrzał, bez wyrządzania trwałych szkód. W okolicach wiezienia dla niewolników, widać było kolejne światła i więcej ludzi.

Campbell nie był w stanie niczego więcej zobaczyć, przez wysokie kamienne ściany więzienia. Jakieś niewyraźne ruchy, od czasu do czasu rozbłyski światła na jaskrawych grzebieniach. Wiedział, że to tam właśnie powinni znajdować się Krayleni. To było jedyne miejsce w Lhi, gdzie można było uwięzić dużą liczbę ludzi i mieć gwarancję, że stamtąd nie uciekną.

Ponura, ciemna twarz Campbella, przybrała bezlitosny wyraz.

– No, dobrze – powiedział. – Idziemy.

W dół, po kamiennych schodach, zeszli do wyjścia. Szybki oddech Stelli w gorących ciemnościach, rytmiczne pobrzękiwanie ćwieków na kilcie Maraha. Campbell zauważył, że oczy harfisty z Callisto, robią się coraz bardziej czerwone i gniewne. Uświadomił sobie, że cały jest spocony. Zapomniał już o swoich oparzeniach.

Stella otworzyła ciężkie, wyłożone stalową blachą, drzwi. Po cichu, powoli. Baraki wyszeptał:

– Połóż mnie na podłodze.

Marah umieścił go delikatnie na kamieniach podłogi. Mały Ojciec ułożył się na niej sam, rozkładając macki wokół swojego białego, gumiastego ciała. Jego jedyne oko płonęło, zimną fosforescencją.

Wyszeptał:

– Teraz.

Harfiarz z Callisto podszedł do drzwi. Odblask światła, oświetlił go na chwilę, jego białe futro i szkarłatny grzebień, obco wyglądającą harfę oraz świecące, gniewne oczy.

W pewnej chwili, zniknął. Zaś z zupełnej pustki, doleciał do nich śpiew harfy.

Przez na wpół otworzone drzwi, Campbell wyraźnie widział, co się dzieje na placu i koło bramy. W rozlewającej się na dworze powodzi światła, na kamiennym bruku, nie było widać, aby cokolwiek chociaż drgnęło. A jednak z tego miejsca płynęła muzyka.

Strażnicy. W jasnym świetle, Campbell widział nawet błysk zaskoczenia w gałkach ich oczu. Nie było jednak niczego, do czego mogliby strzelać. Głos harfy stał się częścią nocy, całkowicie w nią otulony i nieuchwytny.

Campbell zadrżał. Puls krwi huczał mu na szyi, jak uderzający młot. Do jego uszu dotarł głos Stelli, jak lekki podmuch oddechu, napływający gdzieś z ciemności.

– To Baraki osłania go przy pomocy myśli. Ściana mocy, która wykrzywia bieg światła.

Krawędź słabiutkiej jaśniejszej plamy, dotknęła jej policzka, czerni jej włosów. Marah przykucnął za nią, zupełnie bez ruchu. Jego hak lekko błyszczał w ciemności, zakrzywiony i okrutny.

Dostawali jedynie słabym odbiciem, echem muzyki wysyłanej przez harfę. Callistianin kierował jej pieśń, na zewnątrz budynku. Campbell czuł, jak muzyka rozpływa się wszędzie i drży, mieszając się z gorącym powolnym wietrzykiem i ciemnobłękitnym, indygowym niebem.

To była jakaś sztuczka oparta na drganiach strun, diaboliczne wciskanie nut, prosto do mózgu, równie naturalne jak w wyczucie palców, ich ruchów i kontroli nad nimi. Coś w tych krzyżujących się w obie strony strunach, ocierało jedne o drugie, pod cudownymi uderzeniami dłoni, czterech zręcznych rąk. Dla niego było to jednak, jak magia.

– Harfa boga Dagda[1] – wyszeptała Stella, zaś irlandzka muzyka brzmiąca w jej głosie, była starsza niż sam czas. Siedzący w Campbellu Szkot, natychmiast na nią odpowiedział.

Gdzieś na dworze, jakiś człowiek, ciężko zaklął, jak ktoś wciągany w sen, i jednocześnie obawiający się w niego zapaść. Czyjaś broń wystrzeliła, z ostrym, klaszczącym trzaskiem. Niektórzy ze strażników, upadli na ziemię.

Harfa śpiewała coraz głośniej, hucząc echem odbijającym się od szarych kamieni. Była powolnym powiewem wiatru, gorącem, głęboką, niebieską nocą. Była snem.

Reflektory zalewały blaskiem puste kamienie, a strażnicy spali.

Baraki westchnął, zadrżał i zamknął swoje oko. Campbell zobaczył nagle stojącego na środku placu harfiarza z Callisto, z wyprostowanym szkarłatnym grzebieniem, wygrywającego na strunach ostatnie nuty swojej pieśni.

Campbell wyprostował się, wciągając powietrze z urywanym jękiem. Marah podniósł Baraki z podłogi. Mały Ojciec był zupełnie bezwładny, jak wyczerpane dziecko. Oczy Stelli błyszczały i wyglądały dziwnie. Campbell ruszył na zewnątrz, pod ich czujnym spojrzeniem.

Droga przez plac, zdawała się trwać wieczność, w milczeniu i oślepiającym blasku świateł. Campbell pomyślał sobie, że harfa była niezłą bronią. Nie przyciągała niczyjej uwagi, ponieważ każdy, kto ją usłyszał, natychmiast zasypiał.

Odrzucił do tyłu trzy ciężkie słupy z bramy więzienia dla niewolników. Ból poparzonych palców, wyrwał Campbella z tego dziwacznego nastroju, w który wprowadziło go granie na harfie, i jego celtycka krew. Ponownie zaczął jasno myśleć.

– Pośpieszcie się! – warknął na Kraylenów. – Szybko, chodźcie tutaj!

---

[1] Dagda - główne bóstwo celtyckie występujące w mitologii iryjskiej. Był bogiem druidów, rolnictwa, obfitości i płodności. Uosabiał doskonałość, posiadał tajemną wiedzę doskonałą. Posiadał między innymi bogato zdobioną magiczną harfę wykonaną z dębu, która, gdy Dagda na niej zagrał, ustawiała pory roku we właściwym porządku; niektóre źródła mówią, że była ona używana do wydawania rozkazów podczas bitew (za Wikipedią – przyp. tłumacza).

Zaczęli wylewać się przez bramę. Mężczyźni, kobiety z niemowlętami, małe dzieci. Ich grzebienie połyskiwały w ponurej poświacie.

Campbell wskazał na Maraha.

– Idźcie za nim.

Rozpoznali go, próbowali z nim rozmawiać, ale w odpowiedzi zaczął ich poganiać, głośno przeklinając. Wtedy odezwał się stary człowiek:

– Mój synu.

Campbell popatrzył na niego, a potem spuścił wzrok i wpatrywał się w kamienny bruk.

– Na miłość Boską, Ojcze… pośpieszcie się. – Dłoń Kraylena dotknęła delikatnie jego ramienia. Uniósł ponownie oczy i uśmiechnął się. Zupełnie nic nie widział. – Zabierajcie się stąd, do diabła, słyszycie?

Ktoś znalazł przełącznik i najbliżej położone światła zgasły.

Ręka dotknęła ponownie jego ramienia i zniknęła. Pokręcił szaleńczo głową. Krayleni uciekali całą gromadą, w stronę domu. Wtedy nagle Marah krzyknął.

Na plac wbiegli jacyś ludzie. Było ich ośmiu, do dziesięciu, prawdopodobnie ochroniarze tęgiego, siwowłosego człowieka, który ich prowadził. Obok siwowłosego człowieka przybiegł Tredrick, Główny Zwierzchnik Kwartału Ziemian na Romany.

Widać było, że są zaskoczeni. Nie spodziewali się tego, co zastali na placu. Doświadczone w wielu bojach oko Campbella, natychmiast to zauważyło. Prawdopodobnie robili rutynowy obchód, i po prostu przypadkowo natknęli się na tę ucieczkę.

Campbell wystrzelił z biodra. Igły ze środkiem znieczulającym obsypały gęstym prysznicem, zwartą grupę przybyszy. Dwóch z nich upadło bezwładnie. Pozostali rozproszyli się, przywierając płasko do ziemi. Campbell żałował, że nie miał czasu zestrzelić świateł na bramie. Ale przynajmniej cienie utrudniały celowanie.

Pochylił się i zaczął biec, pilnując tyłów rzędu Kraylenów. Stella, pod osłoną drzwi, metodycznie kładła na nieprzyjacielu, ścianę igieł. Campbell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Niektórzy z Kraylenów dostali, i trzeba było ich nieść. To spowolniło przebieg całej akcji. Broń Campbella kliknęła, pusta. Wepchnął klip kolejnego magazynka, przeklinając poparzone palce. Pocisk zaświstał przelatując koło niego na tyle blisko, aby poruszyć mu włosy. Ponownie wystrzelił, pokrywając cały sektor, w którym leżeli nowoprzybyli ludzie. Żałował, że nie mógł odstrzelić łba Tredrickowi.

Krayleni znikali wewnątrz domu. Marah i Callistianin wpadli do niego jako pierwsi, prowadząc pozostałych za sobą. Campbell jęknął. To, czego potrzebowali, to szybkość. Szybkość. Jakieś dziecko, które w pośpiechu oddzieliło się od swojej matki, uklękło na kamieniach i zaczęło krzyczeć. Campbell złapał je w biegu i mknął dalej.

Ogień nieprzyjaciela zaczął słabnąć. Stella zrobiła dobrą robotę. Ostatni z Kraylenów zniknęli za drzwiami. Campbell popędził do góry po

schodkach. Stella również podniosła się na nogi i stała, uśmiechając się do niego. Jej oczy jaśniały. Już na wpół schowali się w drzwiach, kiedy zimny głos za ich plecami powiedział:

– Moja broń załadowana jest śmiercionośnymi igłami. Lepiej będzie, jeżeli się zatrzymacie.

Campbell powoli się odwrócił. Jego twarz wyglądała jak drewniana maska. U stóp schodków, stał Tredrick. Musiał przekraść się gdzieś dookoła placu, w miejscu gdzie ściany budynków rzucały głębokie cienie.

– Rzuć swoją broń, Campbell. I ty, Stello Moore.

Campbell rzucił pistolet. Tredrick może i blefował, co do tych igieł. Ale błąd w tej fazie rozgrywki, byłby po prostu fatalny. Broń Stelli zaklekotała obok jego. Nic się nie odezwała, ale na jej twarzy widać było chłodną chęć mordu.

Tredrick oznajmił bez wahania.

– Równie dobrze, możesz ich zawołać z powrotem, Campbell. To ty byłeś ich przywódcą, ale już nie wyprowadzisz ich stąd.

To zabawne, pomyślał sobie Campbell, W jaki sposób głos człowieka może być taki zimny, kiedy w jego oczach płonie tak szaleńczy ogień? Powiedział ponurym głosem:

– Okej, Tredrick. Wygrałeś. Ale jaki cel stoi za tym wszystkim?

Cała twarz Tredricka, za wyjątkiem jego dzikich oczu, wyglądała, jakby była wycięta z granitu.

– Urodziłem się na Romany. Zamarzałem i głodowałem w tych zgniłych kadłubach. Nienawidziłem tego. Nienawidziłem tej ciemności, samotności, niepewności jutra. Ale kiedy ośmieliłem się powiedzieć, że tego nienawidzę, dostawałem w skórę. Wszyscy inni uważali, że to jest tego warte. Ja, nie. Mówili o wolności, ale dla mnie Romany była więzieniem. Chciałem się rozwijać, ale tłamszono mnie tam w środku. Wtedy oświeciła mnie pewna idea.

Przerwał na moment.

– Gdybym mógł rządzić Romany i podpisać traktat z Koalicją, miałbym pieniądze i władzę. Mógłbym też naprawić sytuację, tak by żadne dziecko już nigdy nie musiało dorastać w taki sposób: w zimnie, głodzie i strachu.

Tredrick uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było ani wesołości, ani miękkości.

– Marah sprzeciwił mi się, i wtedy Krayleni stali się istotną kwestią. Do dobra okoliczność. Koalicja może zająć się Marahem i resztą z was, która była w to zamieszana. Mam więc teraz oczyszczoną drogę.

Stella odparła spokojnie, między zaciśniętymi zębami:

– Cyganie nigdy nie wybaczą ci oddania ludzi z Romany *latnikom*. Będzie wojna.

Tredrick trzeźwo pokiwał głową.

– Żadna wielka zmiana nie może dokonać się bez przelewu krwi. Bardzo mi przykro z tego powodu. Ale Romany będzie dużo szczęśliwsza.

– My nie chcemy być szczęśliwi. My chcemy być tylko wolni.

Campbell przerwał jej ze zmęczeniem.

– Stello, weź dzieciaka, dobrze?

Podał jej małego Kraylena, obecnie już oklapłego i spokojnego. Popatrzyła na niego natychmiastowym wzrostem czujności. Miał szeroko rozstawione stopy, ale stał niepewnie, a głowa opadała mu na dół.

Wzięła od niego dziecko. Kolana Campbella ugięły się. Jedna z poparzonych rąk, w porozrywanym zielonym rękawie uniosła się do góry, żeby przykryć twarz. Druga szukała po omacku oparcia o ścianę. Opadł, jakby na zwolnionym filmie, na kolana.

Wyciągnięta po omacku ręka, opadła na broń pod nogami Stelli. Jednym szybkim ruchem, Campbell złapał ją, cisnął i wyrzucił całe swoje ciało, jej śladem.

Rzucona broń chybiła, ale przeleciała na tyle blisko twarzy Tredricka, że spowodowała ruch jego ręki. Mimowolne zachwianie równowagi mięśni całego ciała, zniszczyło jego kontrolę nad celnością strzału. Ładunek przeszedł koło Campbella, trafiając w ścianę.

Upadli razem, na kamienne podłoże. Campbell złapał Tredricka za nadgarstek, zdając sobie sprawę, że nie zdoła go utrzymać, puścił go więc jedną ręką i walnął bez opamiętania łokciem do tyłu, prosto w twarz.

Pistolet ponownie wystrzelił, bez żadnych szkód. Tredrick jęknął. Jego ręka wyraźnie osłabła. Campbell uderzył ją od góry, i przycisnął ją kolanem. Druga pięść Tredricka obijała jego, i tak już wcześniej obolałe, ciało.

Campbell uderzył pięścią w twarz Tredricka. Zrobił to dwa razy, płacząc oraz przeklinając, ponieważ nagle poczuł się za słaby, aby unieść ponownie rękę. Tredrick krwawił, ale daleki był od utraty przytomności. Jego broń ponownie zaczęła się unosić. Nie miał już zbyt wiele siły, ale wystarczająco dużo.

Campbell zacisnął zęby. Nie był w stanie nawet dojrzeć Tredricka, ale jeszcze raz się zamachnął. Nie wiedział, czy go trafił, czy nie.

Coś zabrzęczało mu koło głowy. Nie można nawet powiedzieć, że to usłyszał. Bardziej należy mówić tutaj o wrażeniu. Ale było w tym coś dziwnego, coś śmiertelnego. Tredrick nie wydawał żadnych dźwięków. Campbell nagle się zorientował, że jego przeciwnik jest martwy.

Wstał, bardzo powoli, trzęsąc się i czując zimno. W drzwiach stał harfiarz z Callisto. Opuszczał właśnie ręce, a jego oczy płonęły jak żywe węgle. Nic się nie odezwał. Podobnie jak Stella. Ale ona śmiała się, zaś dziecko poruszyło się i pisnęło w jej ramionach.

Campbell podszedł do niej. Ona popatrzyła na niego dziwnymi oczyma i wyszeptała:

– Wezwałam go swoim umysłem. Wiedziałam, że będzie zmuszony zabić.

Objął jej twarz obydwiema dłońmi.

– Posłuchaj, Stello. Musisz teraz poprowadzić ich z powrotem. Będziesz musiała dotknąć mojego umysłu swoim, i pozwolić mi, abym w ten sposób pokierował tobą do statku.

Jej oczy ostro się rozszerzyły.

– Ale ty również możesz lecieć razem z nami. On przecież nie żyje. Teraz jesteś wolny.

– Nie. – Czuł jak jej gardło drży mu pod dłońmi. Krew w jej żyłach mocno pulsowała. Tak samo jak i w jego. Szorstko stwierdził: – Wy głupcy, czy myślicie, że oni pozwolą wam odlecieć, po tym wszystkim? Pomieszaliście szyki Koalicji. Nie mogą sobie pozwolić na to, aby wyjść na głupców. Muszą mieć jakiegoś kozła ofiarnego, kogoś, kto pozwoli im zachować twarz!

Po chwili dorzucił:

– Romany, jak do tej pory jest poza planetarną kontrolą. Uruchomcie swoje holowniki i odciągnijcie ją do zewnętrznych części Układu. Uciekajcie nawet poza Saturna, jeśli będzie trzeba. Calistianina nikt nie widział. W ogóle nikt nie widział nikogo, poza mną, Kraylenami i jakąś niemożliwą do zidentyfikowania osobą na ganku przed drzwiami. To jest nikt, poza Tredrickiem, ale on już nie będzie mówił. Czy rozumiesz?

Rozumiała, ale nadal się przeciwko temu buntowała. Jej ponure wargi były pełne gniewu, a oczy świeciły nie tylko od łez, ale również wyzywająco.

– Ale co z tobą, Roy?

Wypuścił jej twarz z rąk.

– Do diabła z tobą, kobieto! Jeżeli ukryję się na Romany, wciągnę was pod jurysdykcję Straży! Ja również znajdę się w pułapce, a ostatnia szansa Romany na pozostanie na wolności, zniknie bez śladu.

Odparła z uporem:

– Ale możesz przecież uciec. Mamy statki.

– Och pewnie. Ale my mamy Kraylenów. Nie zdołacie ich ukryć. Koalicja będzie przeszukiwać Romany. Będą zadawać pytania. Mówiłem ci przecież, że muszą mieć jakiegoś kozła ofiarnego!

Czuł się już naprawdę słabo. Miał nadzieję, że zdoła utrzymać się na nogach. Miał również nadzieję, że nie zrobi nic hańbiącego. Odwrócił się od niej, spoglądając na plac. Niektórzy ze strażników, zaczynali się już poruszać.

– Czy w końcu pójdziesz sobie? – powiedział. – Czy w końcu zabierzesz się stąd, do diabła!

Położyła na nim dłoń.

– Roy…

Szarpnął się i odsunął się od niej. Jego ciemna twarz zastygła w masce zdenerwowania i okrucieństwa.

– Czy naprawdę musisz robić to jeszcze trudniejszym? Czy myślisz, że ja chcę zgnić na Fobosie, w tych ich śmierdzących kopalniach, z kajdanami na nogach?

Odwrócił się do niej, spoglądając na nią wyzywająco, dzikimi oczyma.

– W jaki inny sposób Romany miałoby nadal pozostać wolne? Nie możecie bawić się w ten sposób w kotka i myszkę, z potężnymi ludźmi. Dostaną od tego szaleństwa. Obejdą jakoś prawo i uwiążą was do ziemi. Ktoś musi nieść ideę Romany po całym Układzie Słonecznym. Ktoś musi rozpętać taką kampanię wśród ludzi, że spowoduje ona, iż wielkie, głupie

społeczeństwo, usiądzie i trochę pomyśli. Jeżeli będziecie mieli za sobą opinię publiczną, będziecie bezpieczni.

Uśmiechnął się do niej.

– Ja jestem wyśmienitym newsem. Jestem w końcu Roy Campbell. Mogę rozchlapać ten wasz cały mały, nędzny bajzel, na wszystkie strony, nadając mu takiego blasku, że wielkie, głupie społeczeństwo nie pozwoli tknąć włoska na waszych małych główkach. Jeżeli chcecie, to możecie mi potem postawić za to posąg w Sali Rady.

– Czy teraz już, na miłość Boską, pójdziesz sobie stąd?

Nie płakała. W jej szarych oczach płonęło światło.

– Jesteś cudowny, Roy. Nie zdawałam sobie z tego sprawy z tego, jak jesteś cudowny.

Po jej słowach, poczuł zażenowanie.

– Bzdury. W życiu przestępcy, nie można oczekiwać, że uda się uchodzić karze przez wieczność. Poza tym, jestem starym wygą. Znam różne okrężne ścieżki. Mam trochę forsy, zaoszczędzonej na taką chwilę. Nie będę długo tam siedział.

– Mam nadzieję, że nie – odparła. – Och, Roy, to takie głupie. Dlaczego Ziemianie muszą zmieniać wszystko, co wpadnie im w ręce?

Popatrzył na Tredricka, leżącego na kamiennym bruku. Jego wypowiadane powoli słowa zabrzmiały ponuro.

– Oni budują, Stello. Kiedy skończą, będą mieli duże, silne, prosperujące imperium, rozciągające się na cały Układ Słoneczny. A ludzie, żyjący w tym imperium, będą szczęśliwi. Ale zanim coś zacznie się budować, trzeba wyrównać cały teren, usunąć rzeczy, które stoją na zawadzie. My jesteśmy takimi właśnie rzeczami –– pniakami po drzewach i skałami wyrastającymi na drodze, których nie można odmienić. Oni budują, oni się rozwijają. Nie możesz tego powstrzymać. Na koniec, to będzie naprawdę coś dobrego, jak sądzę. Ale w tej chwili, dla nas…

Urwał. Szorstko popchnął ją do środka i zaczął zamykać wyłożone stalą drzwi.

– Teraz, już naprawdę musicie iść.

Było ciemno i gorąco. Dziecko Kraylenów pisnęło cicho. Czuł blisko siebie ciało Stelli. Znalazł jej wargi i pocałował ją.

Powiedział:

– No to, na razie. A co do tego posągu, to lepiej poczekajcie, dopóki nie wrócę, żeby do niego pozować.

Jego głos zmienił się w pełen tęsknoty szept.

– *Wrócę* – obiecał jej uroczyście.

KONIEC